

DGP

Dziennik
Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend

Europa idzie w hazard

/ M3

RYŚ. PATRYK KOCH. FOT. PEXELS/ANNA SHVETS/SHUTTERSTOCK/MAX DALLOCCO



USA / M6

Najechani przez własny rząd

Mieszkańcy Minnesoty zawiązują patrole obywatelskie, a Trump grozi użyciem wojska przeciw „rebeliantom”
pisze Emilia Świętochowska

Gospodarka / M16

KSeF, wielkie podglądanie

Cóż złego w cyfryzacji? Wiele, jeśli nie instaluje się w systemie odpowiednich bezpieczników
ostrzega Sebastian Stodolak

Wywiad / M20

Pudrowanie rzeczywistości

Mercosur nie byłby aż takim zagrożeniem, gdyby nie wpisywał się w inne umowy handlowe, które zawiera Unia Europejska
twierdzi Anna Bryłka



Gospodarka / M12

Geopolityka sztucznej inteligencji

Amerykański sektor prywatny może przegrać z pragmatycznym podejściem Pekinu do wykorzystania AI w biznesie
analizuje Artur Klimek

Węgry / M14

Orbán znów ma przegrać

W najbliższych wyborach zmienia się tylko jedno – opozycja nie będzie walczyć o głosy między sobą
relacjonuje Dominik Héjj



FOT. WOJTEK GORSKI

Czas hańby

Witold Sokała

Cztery lata pełnoskalowej wojny w Europie. Wojny, której powodem są imperialne mrzonki przywódców Rosji. Najpotężniejsze militarne i ekonomicznie demokracje świata nie potrafiły przez ten czas powstrzymać masowego mordowania niewinnych ludzi, gwałtów i tortur, deptania cywilizowanych zasad.

„Musimy to powstrzymać. Jeśli się nie uda, to będzie hańba” – powiedział Donald Trump tuż przed czwartkowym spotkaniem z Wołodymyrem Zełenskim w Davos. I trudno się nie zgodzić z prezydentem USA – to od dawna jest hańba. Tyle że nie Zełenskiego i Ukraińców, nie milionów zwykłych ludzi na Zachodzie, którzy na miarę możliwości starają się pomóc dobru w pokonaniu zła. To jest hańba liderów polityki i biznesu, którzy najpierw pozwolili Putinowi wyhodować pazury, a potem swą kunktatorską postawą zachęcali go do kolejnych agresji. To hańba tych, którzy już po lutym 2022 r. dawkowali pomoc dla Ukrainy, drząc, by przypadkiem nie zaszkodzić znanemu agresorowi. To dotyczy wielu osób w Europie i w Ameryce – oby historia im tego nie zapomni.

Przede wszystkim to hańba samego Donalda Trumpa. Mógł się uczyć na błędach i zaniedbaniach poprzednika, o których tak lubi opowiadać. Jeśli sam nie rozumie reguł polityki na obszarze postradzieckim, mógł posłuchać mądrzejszych od siebie. Nie brakuje ich również w obozie re-

publikańskim. Ale nie, wołał odwołać jednego z bardziej kompetentnych członków ekipy, gen. Keitha Kelloga, gdy tylko zażądali tego Rosjanie (sic!), i przekazać sprawę w ręce swego kolegi od golfa. Mógł już dawno użyć potężnych instrumentów, którymi dysponują Stany Zjednoczone, aby zmusić Putina do zaprzestania szaleńczej rzezi. Wołał ścisnąć mordercę na czerwonym dywanie i zajmować się milionem innych rzeczy, czasem nawet sensownych z punktu widzenia bezpieczeństwa USA, ale kiedy indziej absurdalnych i de facto przeciwnych (vide: awantura o Grenlandię z najbliższymi sojusznikami, która najbardziej ucieszyła Rosję i Chiny).

Spotkanie prezydentów USA i Ukrainy nie przyniosło żadnych konkretnych rezultatów. Gdy zamykaliśmy to wydanie DGP, nie było wiadomo, czym zakończy się wizyta Steve'a Witkoffa w Moskwie. Szanse na pozytywny przełom, czyli szybki, sprawiedliwy i stabilny pokój, można jednak było szacować jako bliskie zeru. Cztery lata po rozpoczęciu wojny wciąż pozostaje więc trzymać kciuki, żeby prezydent USA wreszcie przestał kompromitować siebie i potęgę Ameryki marnowaniem czasu i dawać nam się wodzić za nos eks oficerowi KGB. ©

Autor jest wykładowcą Instytutu Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, przewodniczącym Rady i analitykiem Fundacji Po.Int, publicystą DGP

FOT. ROMAN KOTOWICZ/FORUM



Kultura / M26

Cykle i rytmy dyktatury

Można całą historię PRL-u opowiedzieć przez dzieje moralnych i instytucjonalnych roszczeń względem ciała kobiety
pisze Piotr Kofta

Europa idzie w hazard



FOT. MARKUS SCHREIBER/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

Europejski antyamerykanizm rośnie, podobnie jak pokusa, by korzystać z niego na krajowym podwórku, a proeuropejską retoryką maskować forsowanie własnych interesów. Francja nie jest jedynym przykładem na naszym kontynencie

Witold

Sokała

Całkiem niedawno mniejszościowy gabinet Sébastiena Lecornu z trudem obronił się w Zgromadzeniu Narodowym przed wotum nieufności. Wszystko przez brak skuteczności w blokowaniu umowy o wolnym handlu pomiędzy Unią Europejską a państwami Mercosuru. W środę mieliśmy jednak gwałtowny zwrot akcji – oto Parlament Europejski odesłał do Trybunału Sprawiedliwości UE tę umowę, negocjowaną żmudnie przez ćwierć wieku i bardzo istotną dla wzmocnienia Unii jako samodzielnego gracza na arenie globalnej oraz do zdynamizowania jej gospodarki. W praktyce może to oznaczać całkowite wyrzucenie porozumienia handlowego do kosza, a przynajmniej zatrzymanie procesu jego wdrażania na długie miesiące.

Francuzi, zrzeszeni w różnych frakcjach, głosowali rzecz jasna gremialnie za wnioskiem. Polacy też, podobnie liczni europosłowie z innych krajów wcześniej przeciwni umowie. Tu nie było zaskoczenia, ale do tego doszło ponad 150 głosów deputowanych z państw, których rządy popierają porozumienie. I to nie tylko z partii eurosceptycznych, bo to akurat też było do przewidzenia.

Z tych euroentuzjastycznych również. De facto to ich głosy minimalnie przewały szalę, bardzo komplikując plany przewodniczącej Ursuli von der Leyen. A prezydent Emmanuel Macron i premier Lecornu mogą się teraz chwalić, że oto zadziałał ich dyskretny lobbying – i że ku radości francuskich rolników i związkowców udało się utrzyć nosa Komisji Europejskiej, Niemcom i innym wrażliwym siłom dybiącym na suwerenne prawa dumnego narodu znad Sekwany. Paradoxs – niemal ci sami francuscy wyborcy, którzy z entuzjazmem przyjmują dzisiaj ten rezultat głosowania, równocześnie kibicują politykom wznoszącym hasła budowy „supermocarstwa Europa” i zerwania strategicznych więzów ze Stanami Zjednoczonymi. I już to powinno dać do myślenia fanom owej opcji spoza Francji. Bo akurat słabsze więzy Unii z Ameryką Łacińską to dobra wiadomość dla USA. Dla Chin także.

Emmanuel Macron nieraz dowiódł swej gotowości do hazardowych zagrywek. Na przykład po ostatnich wyborach do Parlamentu Europejskiego, bardzo udanych dla francuskiej opozycji, gdy niespodziewanie ogłosił rozwiązanie Zgromadzenia Narodowego. Liczył, że w atmosferze szoku poprawi w ten sposób stan posiadania swych popleczników w obu izbach krajowej legislatury. Plan się nie powiódł, jednym z je-

go skutków jest dzisiaj funkcjonowanie już kolejnego rządu mniejszościowego, tworzonego przez powiązane z prezydentem partie centrowe – i coraz większe problemy z prowadzeniem sensownej i skutecznej polityki wewnętrznej. Opozycja natomiast nadal może zdobywać punkty, piętnując bezradność władzy m.in. w kwestiach migracji i bezpieczeństwa publicznego (prawica) oraz wysokiego bezrobocia (lewica). Do tego – wszyscy solidarnie narzekają na rosnący dług publiczny (jeden z najwyższych w strefie euro, po Grecji i Włoszech), deficyt budżetowy (grubo powyżej unijnych limitów) czy nikły wzrost PKB (ostatnio na poziomie 0,7 proc., z realnym ryzykiem recesji w kolejnych miesiącach).

W miniony wtorek Lecornu musiał zaszarżować, korzystając ze specjalnego uprawnienia konstytucyjnego (art. 49 ust. 3), by bez głosowania w izbie niższej przeforsować dotyczącą dochodów państwa część projektu budżetu na 2026 r. Przeciął w ten sposób, przynajmniej częściowo, wielomiesięczny pat w tej kwestii, ale jednocześnie sprowokował furię opozycji (i nowe wnioski o wotum nieufności) oraz merytoryczną krytykę licznych ekspertów. Francuski premier bardzo optymistycznie zakłada, że w lutym całość ustawy zostanie ostatecznie uchwalona, bo podobno zdo-

łał przekonać do jej poparcia deputowanych z Partii Socjalistycznej. Jeśli nawet, to ceną jest odpuszczenie kilku niezbędnych, acz niepopularnych reform fiskalnych oraz planu oszczędności w rozbuhanym sektorze państwowym, co de facto będzie oznaczać tylko odroczenie politycznej egzekucji. W grudniu 2025 r. z niepokojem o sytuacji ekonomicznej i perspektywach jej zmiany wypowiadało się aż 85 proc. respondentów sondażu niezależnego instytutu badawczego ODOXA – a już w 2027 r. Francję czekała przecież wybory prezydenckie.

Sam Macron nie może startować (kończy drugą kadencję), ale jest oczywiste, że musi przynajmniej nieformalnie namaścić następcę reprezentującego oboz umiarkowany, lewicowo-liberalny i centroprawicowy. Na razie przypomina to pocałunek śmierci, urzędujący prezydent należy bowiem do najbardziej niepopularnych polityków nad Sekwaną. Sondaże są zaś nieubłagane: wynika z nich, że każdy polityk obozu rządzącego (opozycyjnej lewicy zresztą też), który stanie przeciwko najbardziej prawdopodobnemu kandydatowi prawicy Jordano wi Bardelli, zapewne zbierze ostatecznie tęgie lanie. Jeśli Macron nie chce zatopić francuskiego centrum politycznego wraz z przyległościami, musi pilnie próbować ucieczki do przodu. ▷

W polityce wewnętrznej – już raczej zero szans. W zagranicznej – to co innego. W dużej mierze dzięki... Donaldowi Trumpowi. Nastroje antyamerykańskie są we Francji tradycyjnie silne, przynajmniej od czasu domniemanej „zdrady” USA w czasach wojny w Indochinach. Potem doszły inne czynniki natury politycznej i kulturowej.

W kontrze do Trumpa

Stany Zjednoczone bodaj nigdy w historii nie prosiły się swoimi działaniami aż tak bardzo, żeby się od nich odwrócić. Krytyka postępowania administracji Trumpa łączy na całym świecie ludzi o bardzo różnych poglądach. Francja nie jest w tej sprawie wyjątkiem, a więc zbijanie kapitału politycznego na atakowaniu polityki Waszyngtonu jest obecnie łatwe i obiecujące. Trzeba tylko wykazać stosowną determinację i talent do autopromocji, żeby nie zniknąć w tłumie.

Te atuty Macron akurat ma. A do tego inne. Francuską energetykę jądrową, zapewniającą przyzwoite pokrycie potrzeb własnej gospodarki i niebagatelne możliwości eksportowe (zarówno odnośnie do prądu, jak i technologii). Potencjał finansowy i naukowo-badawczy, wojskowy (z własnym komponentem nuklearnym) i wywiadowczy o skali globalnej, a do tego sprawną i profesjonalną dyplomację oraz wciąż niezłe zdolności z zakresu soft power. Last, but not least – budowany latami, w trud-

nej, acz generalnie efektywnej kooperacji z Niemcami, wspólny „silnik integracji europejskiej”. Czyli m.in. autorytet i nieformalne wpływy w licznych instytucjach unijnych.

Gdyby udało się teraz przekuć to wszystko w spektakularny sukces, polegający co najmniej na utarciu nosa Trumpowi, a w wersji maksimum na otwarciu realnej drogi do wypchnięcia Amerykanów ze Starego Kontynentu – wdzięczny wyborca francuski, na fali chwilowego entuzjazmu, pewnie byłby w stanie wybaczyć Macronowi wiele wcześniejszych błędów, wypaczeń i zaniedbań. I zagłosować w 2027 r. na popieranego przezeń kandydata, a wkrótce potem, prawdopodobnie, także na partię stanowiącą zaplecze tej operacji. Dodajmy od razu: to wizja atrakcyjna nie tylko dla samego prezydenta oraz dla francuskich sił umiarkowanych, lecz także dla wielu obywateli innych państw Europy przerażonych zarówno słowną fanfaronadą Trumpa, jak i realnymi skutkami jego działań, demolujących stary, oswojony świat Zachodu.

Siły na zamiary?

Dlatego obecny lokator Pałacu Elizejskiego tak bardzo stara się stanąć w pierwszej linii oporu przeciwko polityce Waszyngtonu, a premier Lecornu i jego ministrowie dzielnie sekundują szefowi. Udzielili wsparcia Duńczykom w sprawie Grenlandii, od razu wysłali tam kontyngent wojskowy (symbolicz-

ny, ale jednak), mimo groźby 200-proc. amerykańskich cel na swoje alkoholowe zadeklarowali następnie gotowość kolejnych działań, w tym przeprowadzenia na arktycznej wyspie zakrojonych na większą skalę ćwiczeń NATO ze swoim udziałem. W Davos prezydent Francji wygłosił buńczuczne przemówienie, po czym demonstracyjnie wyjechał przed przybyciem Donalda Trumpa (choć kilkanaście godzin wcześniej proponował mu szybkie zorganizowanie w Paryżu szczytu G7). Po drodze zdezuował pomysł kierowanej przez Trumpa „rady pokoju”, a francuscy politycy i dyplomaci usilnie lansowali w różnych gremiach tezę, że ewentualne sankcje na ich kraj i firmy będą karą za „obronę demokracji i zasad współpracy międzynarodowej” oraz wspólnego interesu Europy. I głośno poparli pomysł zawieszenia już wynegocjowanej umowy handlowej USA-UE.

Można by temu nawet przyklasnąć, bo już wiemy, że Trump – trochę podobnie jak Władimir Putin – łatwiej ustępuje przed argumentem siły niż przed siłą argumentów. Pojawiają się jednak dwie kwestie, na które warto tu zwrócić uwagę.

Pierwsza to realność tej ofensywy, czyli szanse na szybkie zbudowanie europejskiej podmiotowości strategicznej już nie tylko „obok”, ale wręcz w kontrze do USA. A co najważniejsze, także wyborczo, na znaczące ożywienie gospodarcze, którego stara Europa dramatycznie potrzebuje.

Rzecz w tym, że ani Francja, ani Niemcy same w sobie nie mają do tego wystarczającego potencjału. Tym bardziej że gospodarka naszego zachodniego sąsiada też przeżywa poważne kłopoty. Z nieoficjalnych informacji wynika, że prognozy tegorocznego wzrostu gospodarczego właśnie skorygowano w dół – do poziomu 1 proc. – i bynajmniej nie są to problemy chwilowe. Mają podłoże strukturalne i raczej będą się pogłębiać. Nawet przy załagodzeniu sporów polityczno-handlowych z Amerykanami, a tym bardziej w przypadku ich eskalacji, bo Niemcy są znacznie bardziej niż Francuzi uzależnieni od współpracy ekonomicznej z USA.

Szorstkie przyjaźnie

To zresztą jeden z powodów, dla których determinacja Berlina w antyamerykańskich szarżach jest zauważalnie słabsza niż w przypadku Paryża. Niemcy co prawda łakomym okiem patrzą na Amerykę Łacińską i jej rynki, co zapewne nie jest w smak Waszyngtonowi, ale pamiętajmy, że kanclerz Friedrich Merz całkiem niedawno sugerował Amerykanom, że liczy na status specjalnego partnera i jest gotów wpisać się w nowy nurt polityki USA. I że raczej negocjuje warunki tego „wpisania” niż faktycznie dąży do zwarcia.

Są też inne problemy w relacjach dwóch największych graczy unijnych. Do starego sporu o model transformacji energetycznej i rolę atomu doszła właśnie wspomniana batalia o umowę z Mercosurem, a także coraz ostrzejsza rywalizacja obu przemysłów zbrojeniowych i branż motoryzacyjnych o ten sam kawałek rynkowego tortu. Różne są także polityczne interesy i rachuby

choćby na Bliskim Wschodzie, a w bliższej perspektywie wisi awantura o nową obsadę kluczowych stanowisk we władzach Europejskiego Banku Centralnego (w związku z zakończeniem kadencji Francuzki Christine Lagarde), czyli o kontrolę nad wspólną walutą.

W efekcie mało kto wierzy dziś w sprawne działanie osławionego „motoru francusko-niemieckiego”. Bardziej prawdopodobna wydaje się albo jego dalsza praca na niewielkich obrotach, acz z głośnym terkotem, albo wręcz spektakularna eksplozja. Czyli powstanie w ramach Unii dwóch bloków, z których jeden, chcąc nie chcąc, w końcu i tak postara się o nieco bliższe i lepsze relacje z USA (zwłaszcza gdyby w międzyczasie demokratyczni przeciwnicy Trumpa zdołali uzyskać większość w Kongresie, a w dalszej perspektywie odwojowali Białą Dom, lub gdyby nastąpiło przebudzenie i skuteczny bunt w samej partii republikańskiej).

Takiemu scenariuszowi może też sprzyjać przynajmniej chwilowe złagodzenie amerykańskiej presji na Danię i Unię Europejską lub nawet jej względne „ucywilizowanie”. Czyli to, na co nieśmiało chyba możemy liczyć po środowowych sygnałach ze strony administracji USA. Mamy bowiem zapowiedź negocjacji w sprawie warunków i statusu amerykańskiej aktywności na Grenlandii zamiast gróźb militarnych i szantaży handlowych. Ktoś powie: oto dobry skutek tego, że Europa się postawiła. Być może też, acz ważniejsza dla zmiany tonu Trumpa mogła być presja międzynarodowych rynków finansowych oraz – przede wszystkim – sprzeciwy wewnętrzne republikańskiego w USA.

Gdyby ten trend się utrzymał, Macron ze swym radykalizmem znalazłby się na marginesie gry o przyszłość „projektu Europa”, z rujnąjącymi konsekwencjami dla swojego środowiska w polityce wewnętrznej.

Dokarmianie smoka

Francuski prezydent zapewne zdaje sobie sprawę z tego ryzyka i dlatego od razu podejmuje działania mające mu zrekompenzować deficyty istniejące w relacjach z Berlinem. I to jest ta druga kwestia warta zauważenia, bo chodzi o propozycję strategicznej reorientacji Unii i zacieśniania kooperacji z Chinami. Na początek gospodarczych, czyli zdecydowanego otwierania się na chińskie inwestycje. W dalszej perspektywie – zapewne uprzywilejowanego dostępu do rynku chińskiego w zamian za koncesje polityczne, nawet z opcją wspólnych działań na rzecz dedolaryzacji globalnej gospodarki.

Macron wprost zasugerował taką opcję przy okazji wyjazdu do Davos (starannie udając, że nie stoi to w sprzeczności z jego krytycznymi słowami o „tyranach” i hasłem promowania demokracji). Nie jest w tym wśród przywódców ważnych państw Zachodu odosobniony. Bodaj jako pierwszy wykonał taki gest premier Kanady, a równolegle z Francuzami gotowość gry na Pekin zgłosił rząd Keira Starmera w Wielkiej Brytanii, po długich miesiącach kluczenia akurat teraz akceptując plan budowy wielkiej ambasady ChRL w prestiżowym punkcie Londynu mimo ponadpartyj-

Z głębokim smutkiem i żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Profesora Mariusza Frasa,

*Członka Doradczego Komitetu Naukowego,
organu doradczego przy Rzeczniku Finansowym.*

*Profesor Mariusz Fras był wybitnym naukowcem,
autorytetem w swojej dziedzinie
oraz człowiekiem ogromnej wiedzy, życzliwości
i zaangażowania.*

*Jego dorobek oraz wkład w prace DKN
pozostaną trwałą wartością
i źródłem inspiracji dla kolejnych pokoleń.*

*Rodzinie i Bliskim Zmarłego
składamy najszczerze wyrazy współczucia,
łącząc się w bólu i żałobie.*

*Rzecznik Finansowy,
Pracownicy Biura Rzecznika Finansowego,
Przewodnicząca i Członkowie
Doradczego Komitetu Naukowego*



ANALIZA

nego sprzeciwu i negatywnej opinii specjalistów od bezpieczeństwa oraz demokratycznej diaspory chińskiej. W nagrodę Starmer natychmiast dostał ofertę wizyty w Pekinie nawet w przyszłym tygodniu, a także rozmowy wraz z szefami kluczowych firm o „nowej złotej erze” dla biznesu.

Władze w Paryżu tymczasem nieoficjalnie rozważają m.in. zmianę polityki wobec wielkiej fabryki Huawei, wybudowanej opodal Strasburga, od pewnego czasu stojącej bezużytecznie wskutek

coraz bardziej restrykcyjnego stanowiska UE wobec chińskich technologii zagrażających bezpieczeństwu (jeszcze pod koniec ubiegłego roku agencje informowały, że koncern planuje sprzedaż obiektu). Dla Amerykanów taki powrót Chińczyków do gry byłby mocnym policzkiem. Z kolei ci ostatni wyraźnie oczekują takiej europejskiej reorientacji i ciężko nad nią pracują, także propagandowo (w Davos było to wyraźnie widać). Dla nich to też gigantyczna szansa, być może niepowtarzalna.

Nawet jeśli te europejskie ukłony w stronę Pekinu to tylko blef i straszak na Stany Zjednoczone, to należy odnotować, że takie działania – o ile będą kontynuowane – szybko spowodują zamknięcie dróg do współpracy już nie tylko z politykami spod znaku MAGA, lecz w ogóle z Amerykanami. Także z tymi, którzy wciąż jeszcze liczą na powrót do normalności w relacjach transatlantycznych, zresztą ku oczywistemu, wspólnemu pożytkowi, a którzy prędzej czy później mogą dojść do władzy. Po-

nadto mocniejsze uchylanie drzwi dla ekspansji ChRL, która i tak jest przecież obecna w wielu sektorach naszej gospodarki, a prawdopodobnie rozciągnęła także niewidzialne macki w świecie polityki, mediów i w branży eksperckiej, grozi szybkim przekroczeniem punktu krytycznego. Potem już nie będzie odwrotu. Nawet jeśli zechcemy, to Chińczycy będą mieli wystarczający potencjał, by nam na to nie pozwolili. I z amerykańskiego deszczu wpadniemy na trwałe pod chińską rynną. ©



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Amerykanie rozczarowani gospodarką

Tomasz Józwik

W sondażu przeprowadzonym dla CNN w drugim tygodniu stycznia 58 proc. Amerykanów uznało pierwszy rok prezydentury miliardera za porażkę. Wskaźnik aprobaty dla sposobu, w jaki Donald Trump sprawuje urząd, wyniósł 39 proc., wobec 47 proc. w styczniu 2025 r., gdy obejmował stanowisko. Spadające poparcie jest problemem dla republikanów ze względu na wyznaczone na listopad głosowanie uzupełniające, w trakcie których wybrane zostaną nowy skład Izby Reprezentantów i 35 ze 100 senatorów. Republikanom grozi utrata większości w obu izbach parlamentu.

Amerykanie źle oceniają Trumpa przede wszystkim ze względu na sposób, w jaki zarządza gospodarką. Większość uważa, że sytuacja ekonomiczna kraju pogorszyła się, a prezydent robi zbyt mało, żeby zwalczyć rosnące ceny i zapobiec zwiększającym się kosztom życia. Wskaźniki aprobaty dla działań ekonomicznych Trumpa wahają się w sondażach od 30 proc. do 44 proc.

Podstawą problemów prezydenta wydają się być cła. Trump podniósł efektywną stawkę celną (przychody z cel odniesione do wartości importu towarów) z 2,5 proc. do 11–14 proc. Stawki są najwyższe od lat 30. XX w. Prezydent wielokrotnie twierdził, że taryfy – postrzegane jako źródło dochodów budżetowych oraz narzędzie polityki zagranicznej – zostaną sfinansowane przez cudzoziemców.

Tymczasem, jak wynika z badań Instytutu Gospodarki Światowej z Kilonii, który wziął pod uwagę dane od stycznia 2024 r. do listopada 2025 r., jedynie 4 proc. kosztów cel poniesli zagraniczni eksporterzy, zaś reszta przypadła na amerykańskich importerów i końcowych nabywców towarów. Ustalenia te pokrywają się z wnioskami z raportów instytutu Budget Lab at Yale i ekonomistów Harvard Business School. Zgodnie z ich prognozami, opierającymi się na historycznych zależnościach, cła okazały się przede wszystkim podatkiem nałożonym na konsumpcję. Ponad 60 proc. Amerykanów sprzeciwia się wprowadzaniu przez USA nowych taryf. Podobny odsetek uważa, że cła doprowadziły do wzrostu cen w 2025 r. i trend ten utrzyma się w tym roku.

Badania nad wpływem cel współgrają z danymi z gospodarki. Wynika z nich, że wydatki na konsumpcję rosną w dobrym tempie, ale dotyczy to głównie 20 proc. najbogatszych. Ich skłonność do wydawania pieniędzy wspiera hossa na Wall Street. Ale ok. 60 proc. mniej zarabiających rodaków prezydenta zmaga się z rosnącymi kosztami życia.

Podnosząc cła, Trump obiecywał, że doprowadzą one do odbudowy przemysłu i wykreują nowe miejsca pracy. Na razie efekty są przeciwne od oczekiwań prezydenta. W 2025 r. w sektorach pozarolniczych amerykańskiej gospodarki powstawało średnio 50 tys. nowych miejsc pracy, o dwie trzecie mniej niż rok wcześniej. W trakcie prezydentury Trumpa liczba etatów w amerykańskim przemyśle spadła o 0,5 proc., do 12,69 mln w grudniu zeszłego roku.

Zwiększyła się też o niemal 700 tys. liczba bezrobotnych. W grudniu bez pracy pozostawało 7,5 mln Amerykanów. Miesiąc wcześniej stopa bezrobocia osiągnęła poziom 4,5 proc., najwyższy od czterech lat. To również nie wpływa korzystnie na notowania Trumpa.

Cła miały również zachęcić zagraniczne firmy do inwestowania w USA, żeby w ten sposób uniknąć opłat na granicy. Być może ten pozytywny efekt wystąpi w przyszłości, biorąc pod uwagę, że wiele państw podpisało w 2025 r. umowy handlowe z Waszyngtonem, w których zobowiązały się do zainwestowania określonego kapitału w Stany Zjednoczone (m.in. Japonia 550 mld dol., Korea Płd. 350 mld dol.). Na razie jednak rzeczywistość różni się z oczekiwaniami – np. niemieckie firmy ograniczyły w 2025 r. inwestycje w USA o 50 proc. w porównaniu do 2024 r.

Dotychczas opublikowane dane sugerują, że w zeszłym roku tempo wzrostu amerykańskiej gospodarki wyniosło 2,0–2,1 proc., wobec 2,8 proc. w 2024 r. Różnica pokrywa się z grubszą z szacunkami ekonomistów dotyczącymi negatywnego wpływu cel na wzrost PKB.

Mieszane odczucia związane z podwyżkami cel mogą mieć również partnerzy handlowi Ameryki. Z jednej strony ich skala okazała się dużo mniejsza, niż wydawało się na początku kadencji Trumpa. Gdy w kwietniu prezydent ogłaszał cła wyrównawcze obejmujące niemal wszystkich partnerów handlowych Stanów Zjednoczonych, ekonomiści szacowali efektywną stawkę celną USA na 27 proc. Groziło to załamaniem globalnego handlu i recesją w Unii Europejskiej, dla której Stany Zjednoczone są największym rynkiem eksportowym.

Ostatecznie skala światowego handlu wzrosła w 2025 r. o ok. 2,5 proc., a amerykańskie cła zabrały jedynie 0,3 pkt proc. ze wzrostu gospodarczego strefy euro. To, co obszar wspólnej waluty stracił w USA, udało się nadrobić dzięki rosnącemu popytowi wewnętrznemu. W efekcie w ubiegłym roku UE i strefa euro zanotowały wzrost gospodarczy na poziomie 1,3–1,4 proc., przewyższającym średnie osiągnięcia z XXI w.

Są jednak i złe wiadomości. W ostatnich miesiącach unijny eksport do USA spada w tempie kilkunastu procent w ujęciu rocznym. Zeszlazające dane sugerują, że potencjalne nowe rynki zbytu nie są w stanie zastąpić unijnym producentom Stanów Zjednoczonych. To sprawia, że w relacjach z Europą Trump może w dalszym ciągu używać cel jako narzędzia wymuszającego decyzje korzystne dla USA.

Z punktu widzenia UE negatywną konsekwencją wzrostu cel jest także wypchnięcie z USA części chińskich produktów. Pekin z sukcesem przekierował eksport na inne rynki, zalewając zaawansowanymi technologicznie produktami także Unię Europejską. To utrudnia przełamanie stagnacji w unijnym przemyśle.

Co więcej, nic nie wskazuje na to, by celna karuzela miała się w najbliższym czasie zatrzymać. Sąd Najwyższy USA rozpatruje właśnie kwestię przekroczenia uprawnień przez Donalda Trumpa w kwestii taryf. Istotną część podwyższonych stawek prezydent wprowadził, wykorzystując ustawę o nadzwyczajnych międzynarodowych uprawnieniach (IEEPA), powołując się na „niezwykłe i nadzwyczajne zagrożenie” dla Stanów Zjednoczonych. Ustawa nie wspomina o cłach jako narzędziu przeciwdziałania zagrożeniom. Większość ekspertów jest zdania, że rozstrzygnięcie będzie niekorzystne dla Trumpa. Administracja deklaruje, że w takim scenariuszu cła zostaną wprowadzone na podstawie innych przepisów. Może to na przykład oznaczać więcej taryf sektorowych, nakładanych na poszczególne branże, zamiast cel dotyczących produktów z poszczególnych państw.

Nic nie wskazuje na to, żeby Trump miał zmienić politykę celną. Nie znaczy to, że całkowicie ignoruje niezadowolenie Amerykanów (choć z publicznych wystąpień Trumpa wylana się obraz przywódcy, który na każdym polu odnosi wyłącznie sukcesy). Jednym z najnowszych pomysłów na zjednanie sobie wyborców jest ograniczenie na rok oprocentowania długu na kartach kredytowych do 10 proc. Obecnie koszty odsetek wynoszą 23 proc. Na spłatę swoich zobowiązań finansowych Amerykanie przeznaczają jedną trzecią dochodów i jest to najwyższy odsetek w historii.

Instytucje finansowe nie odpowiedziały na apel Trumpa o obniżenie oprocentowania od 20 stycznia. Prezydent zwrócił się więc o pomoc do Kongresu, żeby narzucić stosowane limity na mocy prawa. Eksperti i prezesi banków ostrzegają, że konsekwencje nowych regulacji będą odmienne od oczekiwań. Zamiast ułatwić życie Amerykanom, utrudnią je. Instytucje finansowe ograniczą finansowanie dla konsumentów o najniższej ocenie kredytowej, a ci, jeśli nie zdecydują się na ograniczenie wydatków, najprawdopodobniej zadłużą się poza sektorem bankowym, po jeszcze wyższych kosztach niż obecnie.

Większe szanse powodzenia ma inny pomysł prezydenta na obniżenie kosztów finansowych. Zgodnie z nim Fannie Mae i Freddie Mac, wspierane przez rząd instytucje dbające o prawidłowe funkcjonowanie rynku kredytów hipotecznych, miałyby zakupić obligacje zabezpieczone hipotekami o wartości 200 mld dol. Z punktu widzenia konsumentów efekt nie byłby tak spektakularny jak ograniczenie oprocentowania kart. Jednak według ekspertów banku UBS oprocentowanie kredytów na zakup nieruchomości mogłoby obniżyć się o 0,1–0,25 pkt proc. z obecnych 6,2 proc.

„To jeden z wielu kroków, jakie podejmuję, by przywrócić przystępność cenową” – napisał Trump w mediach społecznościowych, promując swój pomysł. Jednak chyba sam prezydent ocenia, że to za mało, by poprawić notowania. Ostatnio dwukrotnie mówił o odwołaniu wyborów uzupełniających. Dopytywana przez dziennikarzy o słowa prezydenta, Karoline Leavitt, rzecznika Białego Domu, stwierdziła, że Trump żartował. Niemniej w serwisie Polymarket pojawiła się możliwość zawarcia zakładu o to, czy listopadowe wybory odbędą się zgodnie z planem. Prawdopodobieństwo, że tak się stanie, wynosi obecnie 91 proc. ©

Świat

Najechni przez własny rząd

Operacja przeciw migrantom w Minnesocie wielu kojarzy się z okupacją. Mieszkańcy zawiązują patrole obywatelskie, a Trump grozi użyciem wojska przeciw „rebeliantom”

Emilia

Świętochowska

Bataliony federalnych agentów paradyjących po ulicach z ostentacyjnie uniesionymi karabinami automatycznymi, dziesiątki nieoznakowanych pojazdów obstawiających skrzyżowania i arterie, helikoptery godzinami krążące nad dzielnicami mieszkalnymi. Mieszkańcy Minnesoty, znanego z ostrych zim i progresywnej tradycji stanu na północy USA, porównują dziś swoją codzienność do życia pod wojskową okupacją. „To jest tyrania. Inaczej się nie da tego nazwać” – oświadczył miejscowy prokurator generalny Keith Ellison. „Nigdy nie sądziłem, że tak może wyglądać Ameryka” – dodał. Redakcja „Star Tribune”, największego dziennika w Minnesocie, określiła obecność służb federalnych „oblężeniem”, zwracając uwagę, że brutalna strategia obrona przez administrację Donalda Trumpa nie tylko powoduje paraliż, lecz także podważa zaufanie do państwa i naraża niewinnych ludzi na poważne niebezpieczeństwo. Słów nie waży również Jacob Frey, mer największego miasta stanu Minneapolis. „Nigdy, przenigdy nie pomyślałbym, że zostaniemy najechni przez nasz własny rząd federalny” – stwierdził w rozmowie z CNN. I pod-

kreślił, że najazd jest „niesprawiedliwy i całkowicie niekonstytucyjny”.

Na początku stycznia administracja wysłała 2 tys. ciężko uzbrojonych agentów do niespełna 6-milionowej Minnesoty w celu masowej deportacji cudzoziemców, którzy nadużyli amerykańskiej gościnności. Skalę tej kampanii dobitnie pokazuje jedna statystyka: w 430-tysięcznym Minneapolis na co dzień służbę pełni ok. 600 policjantów. Aby wypełnić odgórnie narzucone normy dziennych aresztowań, funkcjonariusze ICE (Immigration and Customs Enforcement) i Straży Granicznej (Border Patrol) dostali zielone światło dla stosowania agresywnych taktyk, które krytycy porównują do metod działania organizacji paramilitarnych. Media społecznościowe zapełniły się nagraniami pokazującymi, jak zamaskowani mężczyźni w kamizelkach taktycznych przeczesują supermarkety i McDonaldy. Jak zatrzymują przypadkowe samochody, wyszarpując z nich pasażerów, którzy stawiają opór, albo jak zgarniają przechodniów o ciemniejszym kolorze skóry czy obco brzmiącym akcencie. Tak jak przy wcześniejszych akcjach w Los Angeles czy Chicago prezydent i jego doradcy odmalowywali operację w Minneapolis jako krucjatę przeciwko „najgorszym z najgorszych”, cudzoziemcom kryminalistom, którzy rzekomo znaleźli schronienie w USA dzięki liberalnej polityce imigracyjnej Joeego Bidena.

Absolutny immunitet

Wzmoczona aktywność ICE w Minnesocie od pierwszych dni wywoływała protesty lokalnych społeczności. Mieszkańcy zaczęli zawiązywać obywatelskie patrole, nagrywając interwencje i ostrzegając sąsiadów przed nalotami. Mobilizowani przez prezydenta do przyspieszenia deportacji agenci traktowali wolontariuszy jako prowokatorów utrudniających im pracę, co nieuchronnie prowadziło do potyczek i konfrontacji. Dlatego gdy 7 stycznia funkcjonariusz ICE zastrzelił Renee Good, 37-letnią mieszkankę Minneapolis, która odmówiła wykonania jego polecenia, wielu komentatorów przyznało, że wpuszczenie do miejskiej tkanki uzbrojonych jak na pole bitwy oddziałów nieprzypadkowo zakończyło się tragedią. Zwłaszcza że po objęciu władzy ekipa Trumpa podjęła kroki, aby w praktyce zagwarantować służbom bezkarność. Mechanizmy rozliczenia agentów lekko-myślnie sięgających po broń zostały wyeliminowane lub osłabione. Biuro, które w nadzorującym ICE Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego badało przypadki nadmiernego użycia siły, tak jak prawie każda część rządu federalnego przeszło w ostatnim roku gruntowne



FOT. STEPHEN MATUREN/GETTY IMAGES

Funkcjonariusze zatrzymują kobietę po wyciągnięciu jej z samochodu. Minneapolis w stanie Minnesota, 13 stycznia 2026 r.

cięcia kadrowe. Na fali odchudzania biurokracji Białe Dom zlikwidował także dwie inne komórki, które pilnowały, by funkcjonariusze działali zgodnie z procedurami.

Po strzelaninie w Minneapolis przedstawiciele administracji ogłosili, że śledztwem w sprawie okoliczności zdarzenia zajmie się wyłącznie FBI. Nie przeszkodziło to ekipie Białego Domu błyskawicznie wydać wyroku: agent imigracyjny, który wycelował w Good, działał w samoobronie. Oficjalna narracja odmalowała ofiarę, matkę sześciolatniego chłopca, jako lewicową ekstremistkę, która próbowała przejechać federalnych agentów. Po obejrzeniu nagrania z zajścia prezydent Trump napisał na swojej platformie Truth Social, że Good była zawodową agitatorką, a funkcjonariusz ICE, którego rzekomo potrąciła swoją Hondą SUV-em, „cudem uszedł śmierci”. Usprawiedliwiając oddanie strzałów, sekretarz bezpieczeństwa krajowego Kristi Noem oskarżyła kobietę o akt „wewnętrznego terroryzmu”. W tym samym tonie wypowiedział się wiceprezydent J.D. Vance: „Mogę uznać jej śmierć za tragedię, a jednocześnie dostrzegać, że była to tragedia, którą sama na siebie ściągnęła”. Vance nie pozostawił też złudzeń, że Jonathan Ross, agent ICE, który pociągnął za spust, kiedykolwiek stanie przed sądem. „Temu facetowi przysługuje absolutny immunitet. Po prostu wykonywał swoją robotę” – oznajmił wiceprezydent. Ocena ta spotkała się ze sceptycyzmem ekspertów, którzy przekonywali, że zgodnie z prawem stanowi prokuratorzy mogą ścigać funkcjonariuszy federalnych za czyny popełnione na służbie. Choć nie jest to proste – zgodę na pociągnięcie ich do odpowiedzialności karnej po starannym zbadaniu sprawy musi wyrazić sąd. Problem w tym, że FBI z miejsca wykluczyło ze śledztwa stanowe organy ścigania. Tłumaczono, że nie można mieć zaufania do śledczych z Minnesoty, że rzetelnie przeprowadzą takie postępowanie.

Media i niezależne organizacje, które odtworzyły przebieg zdarzenia z 7 stycznia, zaprezentowały obraz całkiem odmienny od wersji forsowanej przez Trumpa i jego akolitów. Analizy nagrań z różnych ujęć nie dostarczają dowodów na to, że samochód Good uderzył w Rossa. Sugerują raczej, że to mężczyzna ustawił się naprzeciwko SUV-a, stwarzając dla siebie zagrożenie. Gdy dwóch kolejnych agentów podeszło do auta i zaczęło szarpać za klamkę, kobieta próbowała manewrować, żeby ich ominąć. W momencie oddania strzałów Ross znajdował się obok maski, a koła samochodu Good wyraźnie skreślały w prawo. Nic też nie wskazywało na to, że 37-latkę zachowywała się wobec niego agresywnie, a tym bardziej że chciała mu wyrządzić krzywdę. Krótko przed eskalacją łagodnym tonem rzuciła w stronę Rossa: „Nie ma sprawy, stary. Nie jestem na ciebie zła”. To o tyle ważne, że zgodnie z wytycznymi Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego użycie śmiertelnej broni przez funkcjonariusza jest dopuszczalne wtedy, gdy działania podejrzanego stwarzają poważne zagrożenie dla życia lub ryzyko fizycznego urazu. Instrukcje dla agentów ICE precyzyjnie opisują zaś, jak rozładować niebezpieczne sytuacje. Mowa tam m.in.

o tym, że przy aresztowaniu kierowców należy używać „minimalnej siły”, a polecenia wydawać w sposób „profesjonalny, stanowczy i uprzejmy”.

Dzień po śmierci Good strażnik graniczny postrzelił jadących samochodem dwóch mieszkańców Portland w Oregonie. Również w tym przypadku władze federalne tłumaczyły, że kierowca próbował uderzyć autem w prowadzących interwencję funkcjonariuszy. The Trace, organizacja monitorująca przemoc z użyciem broni palnej, doliczyła się przynajmniej 17 sytuacji, w których agenci imigracyjni pociągnęli na spust. Mieszkanka Minneapolis to jedna z czterech ofiar śmiertelnych, pozostali poszkodowani odnieśli mniejsze lub większe obrażenia. Większość strzałów była wymierzona w stronę samochodów. Jedną z osób, która uszła z życiem, jest 30-letnia asystentka nauczyciela z Chicago Marimar Martinez. Kobieta została postrzelona przez agenta Straży Granicznej, gdy objeżdżała latynoską dzielnicę, ostrzegając o akcji służb. Tak jak w innych sytuacjach funkcjonariusze tłumaczyli się, że kobieta usiłowała ich staranować, ale nagranie ze zdarzenia jednoznacznie podważyło tę wersję. W efekcie prokuratura umorzyła sprawę przeciwko kobiecie.

Sprawca czy ofiara

Sami Amerykanie są podzieleni co do tego, czy Ross działał w obronie koniecznej. W opublikowanym w tym tygodniu sondażu YouGov 56 proc. wyborców zadeklarowało, że zabicie Good było nieuzasadnione, a 29 proc. wyraziło odmienne zdanie. Reszta się waha. Prawie dwie trzecie nie ma za to wątpliwości, że potrzebne jest śledztwo w sprawie zasadności użycia broni. Szanse na to, że postępowanie FBI zakończy się postawieniem funkcjonariuszowi zarzutów, są jednak zerowe. Stojący na czele agencji Kash Patel to zagorzały trumpista, który obrał za swoją życiową misję wypłenicie z Waszyngtonu „podziemnego państwa” (a także autor książek dla dzieci o spisku przeciwko „królowi Donaldowi”). Od początku kadencji Patel koncentruje się na czyszczeniu struktur z ludzi, którzy za poprzedniej administracji pracowali przy sprawach przeciwko jego patronowi, oraz gromadzeniu dowodów przeciwko tym, których prezydent postrzega jako swoich osobistych wrogów. Przykładem jest akt oskarżenia przeciwko prokurator generalnej Nowego Jorku, która wytoczyła Trumpowi proces o zawyżanie wartości swoich aktywów dla uzyskania preferencyjnych kredytów.

Krytycy powątpiewają nawet w to, czy postępowanie w sprawie śmierci Good w ogóle się toczy. Kilka dni po zajściu media podały, że zamiast zbadać legalność użycia broni, organy ścigania przyglądają się potencjalnym powiązaniom ofiary i jej żony ze skrajnie lewicowymi aktywistami, a całe postępowanie jest traktowane jako sprawa napaści na federalnego funkcjonariusza, w którym to Ross ma status osoby pokrzywdzonej. „Dochodzenie przeprowadzamy tylko wtedy, gdy jest to zasadne. Tutaj nie zachodzi taka potrzeba” – oznajmił wiceszef Departamentu Sprawiedliwości Todd Blanche.

Decyzja pociągnęła za sobą falę rezygnacji. Z biura prokuratora generalnego w Minneapolis odeszło sześciu doświadczonych śledczych. Gdy stało się jasne, że wątek nieuzasadnionego użycia siły przez funkcjonariusza zostanie zamieciony pod dywan, dołączyło do nich co najmniej sześciu prokuratorów z wydziału praw obywatelskich Departamentu Sprawiedliwości. To właśnie ta komórka za czasów poprzedników Trumpa zajmowała się głośnymi i politycznie wrażliwymi sprawami brutalności policji i ściganiem przestępstw z nienawiści. Jednym z największych sukcesów wydziału w ostatnich latach było doprowadzenie do skazania w 2022 r. Dereka Chauvina, policjanta z Minneapolis, który dwa lata wcześniej zabił 46-letniego Afroamerykanina George’a Floyda. Po zaprzysiężeniu Trumpa priorytety federalnej prokuratury uległy drastycznej zmianie. Śledztwa dotyczące przemocy i dyskryminacji, które prowadził dotąd wydział praw obywatelskich, zostały zepchnięte na margines. Jego nowy szef Harmet K. Dhillon nakazał podwładnym skupić się na incydentach antysemitkich i przejawach uprzedzeń wobec chrześcijan, a także na zwalczaniu inicjatyw różnorodnościowych pod szyldem DEI. Z niektórych spraw, nad którymi wydział pracował latami, po prostu się wycofano. Na przykład pół roku temu Dhillon zwrócił się do sądu w Louisville o odstąpienie od wymierzenia kary policjantowi, który w 2020 r. zastrzelił 26-letnią ratowniczkę medyczną Breonnę Taylor (sprawca ostatecznie został skazany na niespełna dwa lata więzienia). Wielu prokuratorów skarżyło się, że nowe kierownictwo uniemożliwia im wykonywanie obowiązków, aż w końcu rezygnowało – szacuje się, że komórka straciła prawie trzy czwarte kadry.

Zdusić rebelię

Gniew po zabiciu Good przerodził się w ogólnokrajowe demonstracje, których uczestnicy domagali się usunięcia federalnych agentów z lokalnych społeczności i rzetelnego zbadania popełnionych przez nich nadużyć. Zamiast uspokoić nastroje, administracja tylko podkreślała retorykę i wyekspediowała do Minnesoty dodatkowy tysiąc funkcjonariuszy. Gdy protesty nie ustały, Trump pogroził rozsiedzonym mieszkańcom Minneapolis sięgnięciem po Insurrection Act, ustawę z 1807 r., która zezwalałaby prezydentowi na wysłanie wojska do zduszenia rebelii lub społecznych zamieszek (podobną groźbę wystosował w czasie rozruchów po zamordowaniu George’a Floyda, choć ostatecznie jej nie spełnił). I nic nie wskazuje na to, by Białe Dom zamierzał ostudzić wrzenie. W ubiegłą niedzielę Pentagon postawił w gotowości 1,5 tys. żołnierzy do ewentualnej misji w Minnesocie. Bezpośrednim pretekstem był incydent w stolicy stanu. Do kościoła St. Paul, którego pastor jest funkcjonariuszem ICE, wdarło się kilkudziesięciu demonstrantów, zakłócając nabożeństwo i prowokując spięcia z parafianami.

Oburzenie lokalnych społeczności potęguje zalew drastycznych scen z interwencji. Demonstranci uciekający w kłębach gazu łzawiącego, aresztowania

w bibliotekach, przy szpitalach i szkołach, nagabywanie o dokumenty przechodniów i kierowców na stacjach benzynowych... Wiele osób zatrzymanych lub nękanych przez ICE to obywatele USA, uchodźcy i posiadacze zielonych kart. Wśród nich są osoby nastoletnie, członkowie rdzennych społeczności, nauczyciele, duchowni, a nawet policjanci. Łączy ich jedno: ciemniejszy kolor skóry.

Jeden z viralowych filmików pokazuje kobietę, która wśród zgłębku klaksonów i krzyków protestujących chce przejechać przez teren działania ICE. Tłumaczy, że jest niepełnosprawna i spieszy się do lekarza. Klótnia błyskawicznie przechodzi w konfrontację fizyczną: zamaskowany agent roztrząska szybę w samochodzie kobiety, drugi przecina pas bezpieczeństwa, by następnie siłą wyciągnąć ją z auta i zapakować do radiowozu. Kobieta – amerykańska obywatelka – relacjonowała, że po przewiezieniu jej do ośrodka detencyjnego straciła przytomność. Rzecznik Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego nazwał ją „agitatorką, która zakłócała operację ICE”.

Kilka dni temu media społecznościowe obieły inne szokujące zdjęcia: w gęsto sypiącym śniegu dwójka agentów wyprowadza z mieszkania przygarbionego, zakutego w kajdanki starszego mężczyznę. Zatrzymany ma na sobie jedynie bokserki i crocsy. Jak opowiadał dziennikarzom Reutersa, funkcjonariusze tak się spieszyli, że nie pozwolili mu się ubrać. Gdy w radiowozie ustalili, że jest urodzonym w Laosie amerykańskim obywatelem bez kryminalnej przeszłości, bez słowa odeskortowali go do domu. Kierownictwo ICE tłumaczyło się tym, że mężczyzna pasował do rysopisu przestępcy seksualnego, który rzekomo mieszkał pod jego adresem.

Jak zostać funkcjonariuszem

Mnożą się pytania o przygotowanie agentów do pracy operacyjnej. Ross nie był nowicjuszem. W służbach imigracyjnych – najpierw w Straży Granicznej, potem w ICE – spędził ponad dekadę, a w czasie wojny w Iraku brał udział w patrolach bojowych. Jest członkiem wyspecjalizowanej jednostki taktycznej wysyłanej do wymagających operacji, ale nie do kontroli drogowej. Może to wyjaśniać błędy popełnione w dniu wydarzenia – podręczniki nakazują funkcjonariuszom unikać stawiania na torze jazdy samochodu oraz strzelania do poruszających się aut.

Aby zapewnić płynny przebieg kampanii deportacyjnej, w 2025 r. ICE zworowała 12 tys. pracowników, ponad dwukrotnie zwiększając swoje zasoby kadrowe. Obniżono wymogi, rekrutom zafundowano przyspieszony kurs. O tym, jak łatwo dostać się do służby imigracyjnej, przekonała się dziennikarka Laura Jedeed, której artykuły i wpisy w social mediach bezpardono-wo krytykują Trumpa za autorytarny skok na władzę. Jedeed figuruje nawet na skompilowanej przez prawników aktywistów liście domniemych członków Antify. Krótkie doświadczenie w wojsku wystarczyło jednak, by rekruterzy ICE złożyli jej ofertę pracy. ©



FOT. CORBIS HISTORICAL/CORBIS VIA GETTY IMAGES

XIX-wieczna rycina przedstawiająca grupę samowolnych stróżów prawa wymierzających sprawiedliwość

Zombi Ameryka

Uwarunkowana kulturowo przemoc w pewnym sensie kojarzy się Amerykanom z prawem i porządkiem. To też tłumaczy, dlaczego popierają Donalda Trumpa

Ze Stuartem

Schraderem

rozmawia Eliza Sarnacka-Mahoney

Po zastrzeleniu Renee Good w Minneapolis w całym kraju wybuchły protesty. Co pan widzi, gdy patrzy pan na brutalne taktyki agentów federalnych wobec imigrantów i mieszkańców, którzy przeciwstawiają się służbom? Jestem zdumiony i coraz bardziej zaniepokojony. Do tej pory agenci ICE (Immigration and Customs Enforcement) nie byli angażowani do zaprowadzania porządku publicznego na ulicach. Nie mają zresztą takich uprawnień. Zatrzymywanie samochodów i legitymowanie kierowców to funkcje policji. Do śmierci Renee Good doszło na osiedlowej uliczce, gdzie ICE przyznało sobie prawo kierowania ruchem drogowym. Funkcjonariusze działają tak od miesięcy, ale dopiero za

sprawą uwiecznionej na filmie tragedii w przestrzeni publicznej zaczęły wybrzmiewać fundamentalne pytania o legalność taktyk operacyjnych, a nawet sam cel ICE.

Jakie są uprawnienia ICE? Przez ponad 20 lat istnienia ICE jej agenci zajmowali się głównie skomplikowanymi sprawami dotyczącymi imigrantów. Prowadzili śledztwa, których celem było ustalenie tzw. probable cause, czyli gromadzenie dowodów potwierdzających, że dana osoba przebywa w kraju nielegalnie. Na tej podstawie wszczynano postępowanie deportacyjne. Nie twierdzą, że nie dokonywano aresztowań – również na ulicach – ale nie na taką skalę jak teraz. Co najważniejsze, w przeszłości większość agentów ICE pracowała w strefie przygranicznej, która rozciąga się na szerokość 150 km od granicy. Na tym obszarze mogą oni zatrzymywać, rewidować i aresztować ludzi bez nakazu sądowego. Potocznie mówi

się, że jest to „strefa wolna od konstytucji”. Wygląda na to, że ICE działa dziś wewnątrz kraju, tak jak wcześniej działała tylko przy granicy.

Sugeruje pan, że agenci ICE od zawsze poruszali się na granicy prawa lub wręcz je łamali? To nie jest jednoznaczne, po prostu obowiązują tu pewne normy i tradycje. Przyjęło się uważać, że orzeczenie Sądu Najwyższego sprzed pół wieku nadało służbom granicznym specjalne uprawnienia, co zwalnia je z przestrzegania czwartej poprawki do konstytucji, która stanowi, że nie można nikogo aresztować ani wejść na jego prywatną posesję bez nakazu sądowego. Oczywiście SN odnosił się do działań przy granicy, na lotniskach i w portach. Minneapolis, Los Angeles czy Chicago nie są miastami przygranicznymi.

Czy prawo dopuszcza przemoc na taką skalę, jaką stosuje dziś ICE?

To już bardzo szara strefa. Powiem tak: przemoc i brutalność zawsze były częścią pracy tych służb.

Tylko się o tym nie mówiło? Po co? Przemoc jest bardzo skutecznym narzędziem wymuszania współpracy i przynosi szybsze efekty. Tereny przy południowej granicy USA są pustynne i słabo zaludnione. Złapanych tam ludzi praktycznie nie chroni amerykańskie prawo, bo nie są obywatelami. Ich możliwości odwołania się do amerykańskiego sądu na naruszenia praw człowieka są bardzo ograniczone. Ich głosów po prostu nie ma w przestrzeni publicznej. Dopiero teraz, gdy agenci ICE wkroczyli do miast, rodzi się szersza świadomość na temat metod pracy służb.

Nagrania z działań policjantów ICE wobec mieszkańców Minneapolis szokują świat. Sondaże pokazują, że bulwersują również większość Amerykanów, choć ok.

WYWIAD

40 proc. z nich mniej lub bardziej akceptuje te metody. Czy to znaczy, że mają większą tolerancję na przemoc?

Nie wiem, czy znam odpowiedź na to pytanie. Mogę tylko wyjaśnić, co wpływa na to, jak Amerykanie interpretują sytuacje, w których dochodzi do eskalacji przemocy ze strony służb bezpieczeństwa. Zwłaszcza nieuzasadnionej przemocy. Po pierwsze, ważna jest reakcja naszych władz i polityków. W pierwszym odruchu niemal zawsze dostajemy narrację, że doszło do wynaturzenia. Zawinił pojedynczy funkcjonariusz, a nie cały system. Dla mnie, badacza historii tych służb, jest to w najlepszym wypadku mylący argument, a w istocie fałszywy. Stosowanie nieakceptowalnych, brutalnych metod to część systemu. Jednocześnie system ten ma narzędzia, by blokować inne narracje. W jaki sposób? Ano taki, że ludziom wnoszącym pozwy rutynowo przykleja łatkę członków radykalnych organizacji i dowodzi, że ich skargi mają podłoże nie merytoryczne, lecz polityczne. A na koniec ich sprawy się oddala. To powoduje, że nawet jeśli jakieś zdarzenie wywołuje powszechne oburzenie, to zwycięża przekonanie, że było ono wyjątkiem. Nie tworzy się gruntu pod szerszą debatę o tym, czy agresja służb nie jest czymś wpisanym w system. Po drugie, trzeba zwrócić uwagę na specyficzne uwarunkowania amerykańskiej kultury, w której przemoc i jej symbole zawsze były mocno obecne. Jesteśmy najbardziej uzbrojonym społeczeństwem na świecie, a opowieści o naszych początkach wprost oczekają krwιά. W popkulturze wciąż celebrowany jest vigilantizm (ruch samozwańczych strażników prawa – red.) i archetyp kowboja, który bierze sprawy w swoje ręce, bo sprawiedliwość sama do niego przyjdzie. Nasączone agresją przemocą filmy i literatura fantastyczna cieszą się ogromną popularnością. Co ciekawe, równie silnie obecne są głosy potępiające przemoc, zwłaszcza polityczną.

Albo ktoś tu nie jest ze sobą szczerzy, albo mamy do czynienia z paradoksem.

Zapewne jedno i drugie. Kluczowe jest to, że uwarunkowana kulturowo przemoc w pewnym sensie kojarzy się Amerykanom z prawem i porządkiem. To też tłumaczy, dlaczego popierają Donalda Trumpa. Dlaczego głosując na niego po raz drugi, przymknęli oko na fakt, że był skazanym przestępcą? Dlatego, że gdy ogłosił „jestem waszym prawem i porządkiem, jestem waszą zemstą”, mocno pogrywało na strunach kultury, która wyrasta z tradycji przemocy. To też pozwala lepiej zrozumieć, dlaczego ludzie, którzy wybrali program „America First”, poparli bombardowanie Iranu i porwanie Maduro. Trump godzi obecne w kulturze sprzeczności i paradoksy. Daje głos i polityczne znaczenie ludziom, których światopogląd jest kształtowany równocześnie przez obie te siły. Mamy tu żądzę przemocy przy jednoczesnym piętnowaniu przestępczości.

Dlatego tak wielu Amerykanów nie widzi problemu w tym, że agenci ICE sami prawdopodobnie naruszają prawo?

Ważny jest tu argument, że ICE ściga kryminalistów, czyli występuje w roli dobrego szeryfa. Dobry szeryf nie może być zły, nawet jeśli dokonuje kontrowersyjnych wyborów. Wszystkie jego decyzje są właściwe. Wreszcie – ICE szturmuje głównie miasta rządzone przez demokratów, a administracja je demonizuje. Im większy opór stawiają lokalne władze i mieszkańcy, tym większymi wrogami stają się dla Białego Domu. W oczach wyborców Trumpa stosowanie wobec nich drastycznych taktów jest usprawiedliwione, bo przeszkadzają działaczą służbom.

Protestujący są przedstawiani jako outsiderzy, ludzie, którzy „nie są nami”. Systemowa przemoc w USA zawsze najbardziej dotykała mniejszości. Wystarczy znaleźć kozła ofiarnego, by stworzyć klimat przyzwolenia na agresję?

Nie robiłbym takiego uogólnienia. Po śmierci George’a Floyda w 2020 r. mieliśmy największe protesty w historii. Sondaże wskazują, że po śmierci Renee Good spadło poparcie dla działań ICE. Ale oczywiście ma pani rację, istnieje tradycja większej tolerancji dla przemocy przeciwko mniejszościom rasowym, szczególnie Afroamerykanom i ludności rdzennej.

Załączkami policji w USA były organizowane od 1704 r. tzw. patrole niewolników. Ich celem było pilnowanie porządku na plantacji, ściganie zbiegów, tłumienie rebelii i wymierzanie kar.

Są historycy, którzy w ten sposób tłumaczą, dlaczego do dziś policja w Stanach Zjednoczonych brutalnie traktuje osoby niebiałe. Zadaniem tamtych patroli było utrzymanie porządku w posegregowanym rasowo społeczeństwie i zapewnienie białemu człowiekowi pełni władzy. Sam uważam, że duży wpływ na to, jak dziś pracuje amerykańska policja, miało też kilka innych czynników. Pierwszy to nasza ekspansja terytorialna na Zachód. Państwo nieustannie rosło, a jednocześnie znajdowało się w ciągłym konflikcie z rdzennymi mieszkańcami. Sposób, w jaki wojsko patrolowało nowe terytoria, był formą działalności policyjnej, w której broń i przemoc odgrywały główne role. Drugi czynnik to rozwój przemysłowy w drugiej połowie XIX w. Do miast, głównie na północy, ściągnęły wtedy wielkie fale imigrantów z Europy, w związku z czym narastała potrzeba zwiększania sił porządkowych do rozwiązywania konfliktów, walki z przestępczością i działań kryzysowych. A wkrótce również po to, by rozprawiać się ze strajkującymi robotnikami. Władze oczekiwały efektów, co prowadziło do stosowania brutalnych metod. I wreszcie trzeci czynnik – działania antyterrorystyczne w XX w. To okres, gdy aktywna globalnie Ameryka pomagała obalać reżimy, tłumić rewolucje i szkolić za graniczne służby, umacniając swoją

imperialną pozycję. To, co i jak robiono poza granicami, nie pozostawało bez wpływu na to, jak działały służby wewnątrz kraju.

Jaki był ten wpływ?

Podręcznik napisany na potrzeby wojny z partyzantkami stwierdza, że walkę należy prowadzić nie z samymi rebeliantami, lecz z całymi społecznościami, z których się oni wywodzą. Weźmy teraz ruch praw obywatelskich z lat 60. XX w. Potępiając wojnę w Wietnamie, Martin Luther King powiedział, że potępia też rząd amerykański jako największy aparat przemocy na świecie. King odnosił się również do działań policji i jej relacji z mniejszościami rasowymi. Jako społeczny aktywista z południowego stanu wiedział na ten temat wszystko. Ciekawa jest też historia imigranckich społeczności, których przedstawiciele z czasem zaczęli wstępować do policji, by poprawić swoją pozycję i mieć udział w sprawowaniu władzy. To przypadek Włochów i Irlandczyków. Ci pierwsi w XIX w. nie byli nawet uważani przez Amerykanów za białych. Ale w pewnym momencie komisariaty policji w Nowym Jorku stały się zdominowane najpierw przez osoby pochodzenia irlandzkiego, a potem włoskiego. Odsetek czarnych policjantów wciąż nie odzwierciedla udziału Afroamerykanów w społeczeństwie USA, choć od dekad rośnie. To także efekt świadomych wysiłków czarnej społeczności związanych z próbami reform policji.

Po śmierci George’a Floyda, która stała się symbolem systemowych nadużyć służb wobec mniejszości, wiele mówiono o tych reformach. Jakie były ich losy?

Ruch na rzecz reform pojawił się już w latach 2014–2015, po pierwszej fali protestów Black Lives Matter. Eksperci podkreślali wtedy, że brak zaufania do policji wśród mniejszości delegitymizuje jej działania w oczach opinii publicznej i utrudnia funkcjonariuszom wykonywanie obowiązków. W 2020 r. stało się jasne, że próby reform nie przyniosły efektów. Dlaczego? Bo koncentrowały się na zmianie wizerunku zamiast na zmianie zasad funkcjonowania. Najlepszym przykładem są kamery nasobne, w które 2015 r. powszechnie inwestowano. Większa przejrzystość obróciła się przeciwko policji. Nadal dochodziło do nadużyć, tyle że były one jeszcze lepiej udokumentowane. Do tego okazało się, że nagrania z tych kamer rzadko wykorzystywano jako materiał dowodowy w postępowaniach przeciwko funkcjonariuszom, choć takie było pierwotne założenie. Pozytywna zmiana to niewielki spadek liczby przypadków, w których policjanci naciskają na spust.

Szef policji w Minneapolis zarzucił agentom ICE, że utrudniają pracę jego funkcjonariuszom. To kolejny problem. ICE ściga nielegalnych imigrantów, ale jej agresywne operacje przy okazji podkopują zaufanie do policji. W społeczeń-

stwie tak przemocowym jak amerykańskie często jest ona pierwszą i jedyną instancją do rozwiązywania problemów, którymi powinny zajmować się instytucje pomocy społecznej. Mam na myśli nadużywanie narkotyków, bezdomność, kradzieże. Ludzie nie mają do kogo się zwrócić, więc interweniuje policja. Zamiast rozwiązywania problemów wymierzamy kary. To powoduje, że przemoc się nasila.

W tym roku Ameryka będzie obchodzić 250. rocznicę swojego istnienia. Niektórzy uważają, że kraj jest dziś na drodze autodestrukcji. A pan jak uważa?

Gdyby zapytała mnie pani o to 10 lat temu, to bym kategorycznie zaprzeczył. Wciąż nie uważam, że Stany Zjednoczone się rozpadną, ale po tym, czego doświadczyliśmy w ostatnim roku, prawdopodobieństwo ziszczenia się czarnych scenariuszy wzrosło. Po pierwsze, Donald Trump prowokuje dezintegrację USA, uderzając w miasta i stany, które na niego nie głosowały. O to właśnie chodzi w sporze o wysyłanie tam żołnierzy Gwardii Narodowej. O to chodzi w prężeniu muskułów przez ICE i paraliżowaniu życia mieszkańców Minneapolis. Mieszkańcy Miami czy Dallas nie mają tych problemów, choć w tych miastach mieszka dużo więcej nielegalnych imigrantów. Po drugie, przestaliśmy się liczyć z konstytucją. Czwarta poprawka wyfrunęła przez okno. Przegłosowane po abolicji poprawki czternasta i piętnasta – największe osiągnięcia naszej demokracji ostatnich 150 lat – zostały zdeptane przez Sąd Najwyższy. Myślę, że przetrwamy, ale w formie zombie. Pozostaniemy siłą ekonomiczną i militarną, ale czy nadal będziemy ostoją wolności, swobód i różnorodności kulturowej? To się okaże.

Czy państwo zombi może się stać państwem policyjnym? Służby mają dziś możliwości kontroli i inwigilacji, o jakich kiedyś pisali autorzy książek s.f.

Możliwości takie jak śledzenie naszej aktywności przez hakowanie naszych komórek. To ryzyko istnieje. Jednak powtórzę, że w USA są grupy, które od dawna żyją w atmosferze strachu i inwigilacji. Czy całe państwo zmieni się w Minneapolis? W to nie wierzę. Głównie dlatego, że jestem ogromnym krajem. ICE stara się stworzyć wrażenie, że działa jak tajna policja, bo to świetne narzędzia zastraszania i kontroli. Ma to zniechęcić ludzi do protestowania. Tym bardziej powinniśmy wychodzić na ulice. To jest nasz obywatelski test, lepiej byśmy go nie oblali. ©



FOT. MAT. PRASOWE

Stuart

Schrader

profesor historii na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa

Kraina bez przywódców

Impas, w którym znalazł się Iran, wynika nie tylko z deficytu liderów opozycji. Również reżimowi boleśnie doskwiera brak przywódców, którzy mieliby jakikolwiek autorytet

Mariusz

Janik

Chamenei nie żyje – tą wieścią raz na kilka miesięcy, a bywa że i częściej, żyją portale irańskiej opozycji zarówno w kraju, jak i rozsianej po świecie diaspory. Żyje, lecz nie rusza się z łóżka. Rak. Trzustki, żołądka, jelita. Parkinson, alzheimer, demencja. Coś musi być na rzeczy, bo nie poprowadził modłów w ostatnie święto, a od miesięcy nie pokazali go w telewizji. Był zamach stanu, strażnicy rewolucji przejęli władzę w kraju i go uwięzili.

Gdy któregoś dnia ajatollah Ali Chamenei – Najwyższy Przywódca Iranu, w skrócie Rahbar – umrze, niewiele w to uwierzy. Ale też, widząc, jak opozycja wykrzykuje pod jego adresem: „Śmierć dyktatorowi!” i gdzienigdzie niszczy jego wizerunki, zapewne równie niewiele się tym przejmie. Bo Chamenei nie był i nie jest nikim więcej jak administratorem przysługującej rewolucji islamskiej. Wszyscy muszą go słuchać, ale nikt z nim nie idzie. Może czegoś zakazać dworzanom, a jednocześnie nad wieloma z nich nie sprawuje kontroli. I nie ma na siebie żadnego pomysłu poza przetrwaniem jeszcze jednego dnia. Człowiek bez historii do opowiedzenia i przyszłości do zaplanowania.

Kukielka, która zerwała się ze sznurka

Jeki bud, jeki nebud (był ktoś, a może kogoś nie było) – coś w rodzaju „za siedmioma górami, za siedmioma lasami”. Hooman Majd, pisarz, dziennikarz oraz producent muzyczny irańskiego pochodzenia, który u progu tego stulecia wrócił do ojczyzny, przypomina, że tą frazą zwykły zaczynać się perskie bajki. „Rahbar. Nazwa tego stanowiska nie tylko podkreśla, że Iran to kraj na zawsze rewolucyjny, lecz także uwidacznia dwie przeciwstawne tendencje narodowego charakteru Irańczyków, którzy w ciągu ostatnich stu lat gardzili każdym ze swoich władców i każdego z nich wysmiewali niezależnie od jego dokonań i osobowości, a jednocześnie pragnęli mocnego przywództwa oraz postaci, którą można podziwiać” – konkluduje Majd w jednym z tomów wspomnień z czasu powrotu do Iranu. „Ajtollah Ruhollah Chomejni, założyciel Republiki Islamskiej i lider rewolucji, był zapewne pierwszym naprawdę popularnym przywódcą we współczesnej historii kraju, jeśli nie liczyć demokratycznie wy-

branego Mohammada Mosaddegha, którego premierowanie zakończyło się bardzo szybko, za co należy podziękować CIA” – dorzuca z przekąsem.

Charyzma Chomejniego do pewnego stopnia trwa: Chamenei rzadko jest portretowany w pojedynkę, zwykle w towarzystwie wielkiego poprzednika. Przedstawiciele reżimu, gdy mają coś do ogłoszenia, wywieszają wizerunki Chomejniego, jakby przemawiali w jego imieniu. Irańscy reformatorzy też zwykli firmować swoją politykę jego autorytetem – „chciał odwołać fatwę na Salmana Rushdiego, ale mu się zmarło”. Z kolei Mosaddegh był przeciwieństwem ajatollaha: wykształconym w Szwajcarii prawnikiem, liderem świeckiej partii nacjonalistycznej, obalonym w 1953 r. po trwającej dwa lata próbie nacjonalizacji irańskiego przemysłu naftowego – na życzenie Anglików, przez amerykańską agencję (to jej pierwszy przewrót za granicą, prawdopodobnie z dużym wsparciem MI6). Jego wizerunków w Iranie nie ma, nikt się na niego nie powołuje, ale pamięć o nim trwa.

Chamenei nigdy nie zyskał popularności i szacunku. Mało tego, w oczach rodaków może uchodzić za Dyzmę. Uszedł z życiem z zamachu w 1981 r., choć za chwilę nieuwagi ochroniarzy zapłacił trwałym paralizem prawej ręki oraz poszarpanymi strunami głosowymi. Ze względu na wierność Chomejnemu został wyznaczony na prezydenta, ale w cieniu mentora był raczej administratorem walczącego z Irakiem państwa niż jego liderem. Według oficjalnej historii pierwszy Rahbar zwrócił na niego uwagę, gdy Chamenei pojechał z wizytą do Korei Północnej – jego przemówienie przez Pjongjangu i królewskie przyjęcie przez gospodarzy miały przekonać Chomejniego, że będzie on idealnym kontynuatorem sprawy.

Ale Irańczyki wiedzą swoje. Rzekomy sukcesor został wskazany w liście, który umierający ajatollah pozostawił współpracownikom. Tak się złożyło, że list odkryli i opublikowali syn Chomejniego Ahmad oraz Ali Akbar Rafsandżani – następny prezydent kraju (1989–1997), ambitny młody rewolucjonista, którego rodacy przez lata nazywali Rekinem. Nie przypadkiem, bo Rafsandżani przez kilka porewolucyjnych dekad uchodził za osobę pociągającą za sznurki w irańskiej polityce, „pierwszego kadrowego” niemalże. Słowo „rzekomy” też wydaje się na miejscu, bo zdaniem Irańczyków chodziło o przejściowego figuranta – zza pleców które-



FOT. OFFICE OF THE SUPREME LEADER OF IRAN VIA GETTY IMAGES

Najwyższy Przywódca Iranu
ajatollah Ali Chamenei

go będzie można wygodnie i dyskretnie grać we własną grę. Młody Chomejni nie czuł się na siłach, bo zawsze był w cieniu ojca (być może w końcu się poczuł, bo w 1995 r. miał tajemniczy zawał serca, którego nie przeżył), a Rafsandżani... No cóż, potomek rodziny handlującej pistacjami, bez pogłębionego wykształcenia religijnego, nawet broda mu nie rosła – z przyczyn genetycznych. Żaden materiał na lidera rewolucji.

Ale Chamenei także nieźbyt się nadawał na następcę Chomejniego. Gdy zapadły decyzje o sukcesji, w ekspresowym tempie zaczęto doskonalić jego wykształcenie, nadając mu z marszu tytuł ajatollaha. Nie bez sprzeciwu części duchownych kilka lat później ogłoszono go wielkim ajatollahem – to tytuł nadawany najznajomiejszym duchownym i związany zwykle z pozycją „źródła do naśladowania” (mardża at-taklid). Trudno jednak przytoczyć jakieś traktaty religijne, które wyszłyby spod pióra Chameneiego. Ba, przez pierwszą dekadę na stanowisku Rahbara był niewidoczny: jedni mówią, że to dlatego, iż były to czasy prezydentury Rafsandżaniego. Inni, że w zniszczonym rewolucją oraz wojną z Irakiem kraju wołał trzymać głowę nisko, by potencjalne niezadowolenie spadało na głowy członków prezydenckiej administracji.

Wychylił się dopiero pod koniec lat 90. Rządzące duchowieństwo zaczęło się dzielić na frakcje: byli konserwatyści, byli reformatorzy, a pomiędzy nimi pragmatycy. W tle rośli w siłę dowódcy i członkowie paramilitarnego Korpusu Strażników Rewolucji. Chamenei odnalazł się w roli arbitra, który ciągnie lub popuszcza wodzy jednym czy drugim, podejmując takie decyzje, by zawsze któraś z frakcji (najczęściej konserwatywna) je poparła. I w zasadzie tak jest do dziś: choć to jego wystąpienia i pogroźki są cytowane w światowych mediach, a Donald Trump nazwał go niedawno chorym człowiekiem, to dla Izraela i USA Chamenei jest celem drugorzędym. A nawet lepiej, żeby wciąż tkwił na stanowisku, bo skupia na sobie gniew Irańczyków.

Radykał i liberał

Ale jeśli spojrzeć na obecnego Rahbara w kategoriach przetrwania, to jest on w tej dyscyplinie mistrzem. Nie wszyscy opanowali tę sztukę. Dzień po tym, jak przed Chameneim eksplodowała niewielka, ukryta w magnetofonie bomba, w siedzibie utworzonej naprędce po rewolucji partii duchowieństwa wybuchł potężniejszy ładunek: eksplozja zabiła na miejscu lub śmiertelnie poharała aż 74 wiodących funkcjonariuszy, w tym ajatollaha Mohammada Beheshtiego. Był on nie tylko szefem sądownictwa czy prawdopodobnym autorem lwiej części konstytucji Republiki Islamskiej.

„Beheshti (...) zbierał sztab i dyktował instrukcje. Wszyscy byli mu wdzięczni, bo wiedzieli, jak postępować, co robić. Beheshti miał w ręku aparat szyicki (...) Bazą [był] gotowy na wezwanie mułłów tłum” – pisał na jednej z ostatnich stron „Szachinszacha” Ryszard Kapuściński.

„Szachinszach” jest zresztą doskonałym przykładem tego, jak szybko opowieść o rewolucji islamskiej zafiksowała się na głównych bohaterach. Gdy dziś przegląda się archiwalia z lat tuż po obaleniu szacha, wyglądający zza oblicza Chomejniego Beheshti może się zdawać przypadkowym statystą. Tymczasem w tamtych czasach było jasne, że to on – młodszy od Chomejniego o 26 lat, starszy od Chameneiego o 11 – zostanie kolejnym Najwyższym Przywódcą.

Ale był też ajatollah-dysydent: Ho-sejn Ali Montazeri. Niemal rówieśnik Beheshtiego i współautor konstytucji Republiki – ba, autor koncepcji wilajatu al-fakih, Najwyższego Przywódcy. Kilka lat po śmierci Beheshtiego Chomejni zaczął właśnie jego kandydaturę forsować na następcę. Tyle że miesiąc miodowy szybko się skończył: Montazeri nie ukrywał, że jego idea Najwyższego Przywódcy sprowadza się do przywództwa duchowego, a nie politycznego. Rahbar ma być autorytetem, nie nadprezydentem. Mało tego, Montazeri zaczął zasympywać Chomejniego korespondencją – należy zadbać o prawa mniejszości religijnej bahaitów, nie można ograniczać praw kobiet, trzeba pozwolić na swobodne tworzenie partii, duchowni precz z polityki. „Teraz świat dostaje sygnał, że naszym zajęciem jest głównie mordowanie” – skwitował fatwę na Rushdiego.

Chomejni szybko ogłosił, że Montazeri zrezygnował z sukcesji, a później – że będzie pozostawał w areszcie domowym. Areszt poluzowano dopiero w 2003 r. Montazeri zdążył jeszcze zaprotestować przeciw zduszeniu protestów powybórczych latem 2009 r. – w grudniu tego samego roku zmarł. Tę legendę reżim próbował zdusić własnymi rękami. Lakoniczne komunikaty mówiły o śmierci „dysydenckiego duchownego”, bez podawania religijnych tytułów i nazbyt wylewnych wspominków. O ironio, głos Montazeriego dobiegał i zza grobu: po kilku latach jego synowie opublikowali nagrania ojca, w których potępia on represje wobec opozycji i egzekucje w latach 80. Jeden z synów finalnie wyładował w więzieniu z 21-letnim wyrokiem za szkodzenie Republice, drugi kilka lat temu słał gniewne listy w obronie „dziedzictwa” ojca.

Świeccy charyzmatycy

O ironio, konserwatywna frakcja irańskiego establishmentu odpowiada też za świeckiego charyzmatyka: byłego prezydenta (2005–2013) Mahmuda Ahmadineżada. Ale nie był on typowym produktem politycznym, bardziej dżinem wypuszczonym z butelki. Do prezydenckich gabinetów (bo trudno nazwać biurowiec w centrum Teheranu pałacem prezydenckim) wprowadził się na fali rozczarowania liberalizmem poprzednika oraz krzykliwe demonstrowanej empatii dla najbiedniejszych.

Ledwie zasiadł w fotelu prezydenta, zaczął usuwać luksusy: odesłał z biur

dywany, przesiadł się do tańszego auta, do ludzi wychodził w nieco pomiejęt kurteczce, którą przeciętny Irańczyk kojarzył z tanim produktem z bazaru. Między wierszami dawał do zrozumienia, że nie jest mu daleko do latów – irańskich chuliganów ze złych dzielnic, którzy lubią bójki z użyciem noży, żyją w półświatku, ale jednocześnie czynią to, by przetrwać, a ich postępowaniem rządzą honorowe kodeksy ulicy. Podobny styl mają Putin czy Erdoğan.

Przy czym Ahmadineżad zapowiadał „zniknięcie Izraela z kart historii” (co potem publicyści przerobili na usuwanie z mapy), organizował kontrowersyjne konferencje dla negacionistów Holocaustu, ścisłał się z Putinem, Łukaszenką, Chávezem, al-Asadem. Dbał o subsydiowanie podstawowych produktów, ganił skorumpowane elity (zwłaszcza te związane z frakcją reformatorską), przygotowywał jedną z głównych ulic w Teheranie na powrót 12. imama – w szyizmie odpowiednika Mesjasza, który powróci przed końcem świata z wielowiekowego ukrycia. Utrzymywał, że podczas jego wystąpienia na Zgromadzeniu Ogólnym ONZ bił od niego blask widoczny na zdjęciach.

Finalnie: przegrał. Drugą prezydencką kadencję wygrał w ramach najbardziej kontrowersyjnych wyborów w porewolucyjnej historii Iranu, kiedy protesty zmusiły Rahbara do interwencji – oczywiście na rzecz swojego preferowanego kandydata, Ahmadineżada. Zamiast przyjąć z pokorą, że stanowisko zawdzięcza Chameneiemu i kalkulacjom jego zaplecza, prezydent uznał, że jego legitymacja ma rzeczywistą siłę – coraz częściej i wyraziście zaczął pouczać ludzi z otoczenia Najwyższego Przywódcy, stosować instrukcję wobec poleceń nadchodzących z jego biur, eliminować z rządu i struktur władzy jego delegatów. Owszem, po 2013 r. co jakiś czas powraca plotka, jakoby Ahmadineżad przymierzał się do politycznego powrotu, ale w rzeczywistości sporadycznie widuje się go raczej na niewielkich religijnych zgromadzeniach gdzieś na przedmieściach Teheranu.

Duchownym nie był też Ghasem Solejmani, dowódca elitarniej jednostki Korpusu Strażników Rewolucji, znanej jako Siły Ghods. Być może w ostatnich latach to on był najbliższe dołączenia do Chomejniego i Mosaddegha w panteonie irańskich przywódców, którzy budzili autentyczny posłuch. Solejmani miał bowiem rozmach. „Generale Petraeus, powinien pan wiedzieć, że to ja, Ghasem Solejmani, kontroluję politykę Iranu odnośnie do Iraku, Libanu, Gazy i Afganistanu. I w rzeczy samej, ambasador w Bagdadzie to członek Ghods. Osoba, która go zastąpi, również będzie członkiem Ghods” – napisał w 2008 r. w SMS-ie adresowanym do ówczesnego dowódcy sił USA w Iraku, Davida Petraeusa. Lapidarna, wręcz prząsna forma tego komunikatu była oczywistą deklaracją siły.

Solejmani nadawałby się na bohatera perskich legend. Pochodzący z biednej wioski, jako nastolatek odrabiał długie ojca rolnika, pracując na budowach. W Korpusie pojawił się w chwili, gdy ajatollahowie ogłosili powstanie własnej formacji paramilitarnej, miał wtedy 22 lata. Z wojny z Irakiem wrócił w aurze autentycznego bohatera, doświadczonego na polu bitwy. Po wojnie zwalczał gangi narkotykowe na granicy z Afganistanem.

Od końca lat 90. dowodził Siłami Ghods, napędzając powstanie szyickich bojówek w Iraku, uznawaną za sukces taktyczny obroną Hezbollahu w trakcie 33-dniowej wojny w Libanie w 2006 r. czy zaangażowaniem irańskich oddziałów w obronę reżimu Baszszara al-Asada w Syrii po wybuchu Arabskiej Wiosny. Nigdy nie ukrywał, że jest wrogo nastawiony do „zadymiarzy”, którzy protestowali przeciw reżimowi co kilka lat – ale mimo to wielu rodaków darzyło go szacunkiem, jeśli nie uwielbieniem. Był jak irański program nuklearny: sprawiał, że świat zaczynał się liczyć z Iranem. Być może utorowałoby mu to z czasem drogę do władzy politycznej, gdyby nie wystrzelona z drona na polecenie Donalda Trumpa rakietą, która trafiła jego auto na bagdadzkim lotnisku na początku 2020 r.

Gołębie w klatkach

Na przeciwnym krańcu światka reżimowego establishmentu sytuuje się garstka reformatorów, którzy – bywało – wywoływali wśród rodaków wielkie emocje. Niedysyjszy „mułła Gorbaczow”, byłby prezydent Mohammad Chatami (1997–2005), jedynie przez dwa lata niósł nadzieję: złudzenia prysnęły, kiedy w 1999 r. studenckie demonstracje zostały brutalnie spacyfikowane przez reżim za przyzwoleniem (a może zachętą) Rahbara. Bezradność i beczynność prezydenta sprawiły, że praktycznie cały ruch reformatorski wówczas podupadł. Chatami zachowawczo wybierał milczenie w 2009 r., 2022 r. i 2025 r. – Jeśli ten system, z wszystkimi swoimi brakami i błędami, by upadł, los Iranu byłby znacznie bardziej gorzki, niż jest obecnie – mówił w wywiadzie zaledwie kilka dni przed wybuchem ostatnich protestów. – Separatyzmy, zagraniczne interwencje i infiltracja zniszczyłyby Iran. Jedyną drogą do fundamentalnych reform jest ta, która jest mniej kosztowna i przynosi więcej korzyści – dowodził, odnosząc się do koncepcji reform w ramach reżimu. Cóż, kilkadziesiąt godzin po publikacji tych słów okazało się, że trudno być dalej od nastrojów ulicy.

Mir-Hosejn Musawi mógłby uchodzić za przeciwieństwo Chatamiego: niemal 84-letni polityk jest weteranem rewolucji i to w jej „jastrzębiej” odsłonie – jeszcze w czasach Chomejniego został mia-

nowany premierem (do 1989 r. aparat władzy obejmował tę funkcję obok prezydentury, potem urząd szefa rządu zlikwidowano) i w tym czasie był zwolennikiem brutalnej rozprawy z ówczesną opozycją – monarchistami, partyzantkami niegdyśszych rewolucyjnych towarzyszy broni, mniejszościami etnicznymi, intelektualistami. Zepchnięty w toku frakcyjnych walk na boczny tor – na stanowisko rektora Irańskiej Akademii Sztuk Pięknych – powrócił jako kandydat frakcji reformatorskiej na prezydenta w wyborach w 2009 r.

Kontrowersyjna porażka z walczącym o reelekcję Ahmadineżadem uczyniła z niego lidera Zielonej Fali – ruchu protestu przeciw wyborczym manipulacjom. Gwałtowny przebieg demonstracji i represje skończyły się dla Musawiego i jego żony trwającym do dziś aresztem domowym. Dekadę po protestach rygor poluzowano na tyle, że polityk może raz w tygodniu wyjść z domu, a jego najbliżsi mogą odwiedzać go bez ograniczeń.

Być może ze względu na to, że Musawi nie ma już dziś nic do stracenia, jest on najradykałniejszym politykiem wewnątrzreżimowej opozycji. Zarówno po protestach w latach 2022–2023, jak i po ubiegłorocznych nalotach amerykańsko-izraelskich wezwał do narodowego referendum na temat zmiany konstytucji i ustroju. „Utoruje ono drogę do samostanowienia narodu i zniechęci wrogów tej ziemi do dalszego ingerowania w jej sprawę. Obecna struktura systemu nie reprezentuje wszystkich Irańczyków. Ludzie chcą rewizji tych błędów” – pisał w apelu, który przeszmuglowano z miejsca jego odesobnienia.

W areszcie domowym żyje też Mahdi Karrubi: 89-letni duchowny uchodzący za kontynuatora postawy ajatollaha Montazeriego. Spośród wszystkich graczy w reformatorskiej części establishmentu Karrubi najlapidarniej wyraża niezadowolanie z tego, co przyniosła rewolucja. Tyle że mułła startował w wyborach prezydenckich w 2005 r., a potem w 2009 r. – i od tamtej pory w komentarzach powtarza oskarżenia odnoszące się do tamtych wydarzeń, a minęło przecież ponad 16 lat od protestów Zielonej Fali i dwie dekady od pierwszej elekcji Ahmadineżada. Dla większości Irańczyków to prehistoria. Irańskie gołębie łączy dziś z jastrzębiami jedno: nie są dla Irańczyków żadnym punktem odniesienia. ©

Protesty poniżej radarów



Czytaj też

W ostatnich dekadach konfrontacji narodu z reżimem było bez liku: fali studenckich wystąpień w 1999 r. – w apogeum „irańskiej wiosny”, pierwszej prezydentury stosunkowo liberalnego duchownego Mohammada Chatamiego – poświęcono kilka książek, uwagę świata przykuła powybórcza konfrontacja reprezentującego umiarkowanych reformatorów Mir Hosseina Musawiego i twardego prezydenta Mahmuda Ahmadineżada w 2009 r. (Zielona Fala), wreszcie fala gniewu po śmierci Mahsy Amini w 2022 r. Ale jeszcze więcej było w ostatnich latach protestów na tle ekonomicznym. Na przykład w 2017 r. wybuchły demonstracje w Maszhadzie. To metropolia tyleż religijna, ile biedna. W ciągu nieco ponad tygodnia protesty rozszerzyły się na cały kraj, z wystąpień na tle biedy i korupcji przerodziły się w protest antyreżimowy, a skończyły pacyfikacją tłumów i aresztowaniem co najmniej 5 tys. uczestników.

Na edgp.gazetaprawna.pl • „Krwawy impas w Iranie”, DGP nr 10 z 16 stycznia 2026 r.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Geopolityka sztucznej inteligencji

Artur Klimek

Rozgrywka o dominację w zakresie sztucznej inteligencji (AI) to nowe pole rywalizacji geopolitycznej między dwiema największymi gospodarkami świata – Stanami Zjednoczonymi i Chinami. W optymistycznym scenariuszu AI może się stać źródłem przewag w gospodarce, nauce i na polu militarnym. Obserwując poczynania głównych mocarstw, można dojść do wniosku, że jest to gra o sumie zerowej, w której powodzenie jednego uczestnika oznacza przegraną drugiego. Dlatego USA tak mocno strzegą swoich tajemnic związanych z zaawansowanymi procesorami komputerowymi. Z drugiej strony świadome ograniczeń Chiny rozwijają atuty w innych obszarach.

Oba kraje wybrały odmienne modele rozwoju sztucznej inteligencji. Stany Zjednoczone przyjęły podejście oparte na budowaniu ogromnych mocy obliczeniowych. Państwo Środka postawiło – albo zostało do tego zmuszone – na maksymalizację zastosowania AI w realnej gospodarce. Nawet jeśli modele z Chin nie są tak zaawansowane jak te amerykańskie, to jako światowa potęga przemysłowa posiadają ogromne spektrum możliwych zastosowań. AI wykorzystano już w zaawansowanych procesach produkcyjnych, humanoidach, pojazdach autonomicznych i logistyce.

W USA dominują komercyjne modele oparte na płatności za usługi. Z kolei Chiny stawiają na otwarte modele (tzw. open source) – taki jak ten stworzony przez firmę DeepSeek, która przełamała bezwzględny prymat amerykańskich spółek. Otwarte podejście pozwala na szybsze rozprzestrzenienie się technologii. Chodzi nie o to, aby jedna firma osiągnęła dominującą pozycję, lecz o to, aby wykorzystywanie AI stało się powszechne w biznesie i życiu codziennym. Można to powiązać z kolektywnym charakterem chińskiej kultury. Popularność sztucznej inteligencji w Państwie Środka to również kwestia większego niż w USA optymizmu wobec tej technologii.

Wszystko to nie znaczy, że Chińczycy nie prowadzą zaawansowanych badań ani nie opracowują nowatorskich technik. Wręcz przeciwnie – wraz z upowszechnieniem dużych modeli językowych powstała ogromna grupa badaczy zajmujących się AI. Chiny przodują też pod względem liczby patentów związanych ze sztuczną inteligencją. Wynika to z dużych nakładów na naukę zarówno w zakresie badań podstawowych, jak i stosowanych.

W USA sztuczna inteligencja jest rozwijana głównie w sektorze prywatnym. Podobnie dzieje się w Chinach – rozwiązania AI tworzą firmy takie jak Alibaba, Baidu czy ByteDance. Rozwój tej technologii w Państwie Środka jest jednak ściśle powiązany z państwowymi priorytetami. Dobrze obrazuje to zestawienie podmiotów, które zgłaszają najwięcej patentów. O ile w przypadku Stanów Zjednoczonych przodują prywatne firmy, o tyle w przypadku Chin dominują państwowe uniwersytety. Według zestawienia Bloombergu Uniwersytet Tsinghua uzyskał więcej patentów związanych z AI niż kilka czołowych amerykańskich uczelni razem wziętych. Artykuły naukowe dotyczące sztucznej inteligencji opublikowane przez naukowców z tego chińskiego uniwersytetu są najczęściej cytowane na świecie. Pokazuje to, skąd płyną zachęty i pieniądze. Również amerykańska administracja chce odgrywać większą rolę w rozwoju AI. Pod koniec listopada Donald Trump podpisał rozporządzenie wykonawcze inicjujące „Misję Genesis”, której celem jest zwiększenie naukowych wysiłków związanych z AI oraz utrzymanie amerykańskiej przewagi w tym obszarze.

Niezależność od zagranicznych dostaw

Wszystko rozbija się o dostęp do najnowszych procesorów. Administracja i spółki z USA mają świadomość postępu, jaki zachodzi w Państwie Środka oraz determinacji tamtejszych władz w dążeniu do stworzenia najbardziej wydajnych chipów. Eksperci uważają, że Chiny mają większe zaległości wobec Stanów Zjednoczonych, niż to wynika z poziomu modeli AI – przełomowy DeepSeek-R1 nie powstałby bez amerykańskich mikroprocesorów. Dlatego dyskusja o udostępnieniu im zaawansowanych chipów jest tak żywa. Otoczenie Donalda Trumpa podnosiło argumenty, że osłabi to determinację Pekinu do rozwoju własnych rozwiązań.

Jednak może to być złudne. Państwo Środka dużo inwestuje w stworzenie własnych zaawansowanych procesorów. Niedawno na giełdę w Szanghaju weszła nazywana „chińską Nvidią” firma Moore Threads Technology. Jej akcje w dniu debiutu zyskały 400 proc. Wcześniej inna spółka z branży półprzewodników – Cambricon – zapowiedziała zwiększenie mocy produkcyjnych w zakresie chipów AI. Wszystko to jest związane z chińską strategią rozwoju niezależności w obszarze zaawansowanych półprzewodników. Do tej układanki należy dodać narodowego czempiona, czyli Huawei, który intensywnie pracuje nad kolejnymi generacjami chipów oraz tworzy rozwiązania pozwalające na produkowanie nowoczesnych procesorów, nawet bez wykorzystania najbardziej zaawansowanych maszyn, do których dostęp blokuje ograniczenia handlowe.

Złożoność sytuacji z mikroprocesorami dobrze oddają słowa szefa Nvidii Jensena Huanga, który stwierdził, że jego spółka to jedyny przypadek firmy, która jest objęta restrykcjami nałożonymi przez władze zarówno kraju macierzystego (USA), jak i kraju docelowego (Chin). Trudności potęgują częste zmiany w amerykańskim podejściu do eksportu chipów – od blokady przez rozważanie zezwolenia i kolejne ograniczenia po wydanie zgody na eksport mniej zaawansowanych chipów H200 w zamian za wniesienie opłaty do budżetu. Okazuje się, że nawet kwestia bezpieczeństwa narodowego USA może być przedmiotem negocjacji. W tej sytuacji pewne jest jedno: Chiny dołożą starań, aby uniezależnić się od zagranicznych dostaw. Nawet jeśli to potrwa lata i będzie wymagało kolejnych miliardów dolarów.

Wyścig energetyczny

Szybki rozwój AI zależy od dostępności i ceny energii elektrycznej. Władze kilku chińskich prowincji ogłosiły niedawno 50-procentową obniżkę cen prądu dla przedsiębiorstw z branży sztucznej inteligencji, co może dać im ogromną przewagę kosztową. Tym bardziej że z założenia nie mogą one pozyskać wydajniejszych i mniej energochłonnych procesorów z USA.

„Drill, baby, drill” to nie tylko hasło wyrażające wsparcie dla sektora paliwowego, lecz także zapowiedź Donalda Trumpa renesansu paliw kopalnych w celu pobudzenia przemysłu, w tym energochłonnej rewolucji AI. Choć zielone technologie znalazły się w Ameryce na cenzurowanym, to jak zauważa Bloomberg, bez odnawialnych źródeł nie da się zbilansować systemu energetycznego. Ze względu na niską cenę i krótki czas instalacji energetyka wiatrowa i słoneczna będą w najbliższych latach źródłem nawet 80 proc. nowej mocy w USA.

Chiny zwiększają produkcję energii dużo szybciej niż Stany Zjednoczone. Instalują najwięcej na świecie mocy odnawialnej, a także są wiodącym producentem węgla z wydobyciem na poziomie ponad 4 mld ton w 2024 r., co się przekłada na niskie ceny i wysoką dostępność prądu. W Państwie Środka wciąż powstają nowe elektrownie zasilane paliwami stałymi. Ponieważ dla rewolucji AI liczy się każde, nawet najbrudniejsze źródło mocy, USA też wracają do węgla. Ich wydobycie to jednak zaledwie dziesiąta część chińskiej produkcji. Rozwój sztucznej inteligencji wymaga ponadto skoncentrowanych i stabilnych dostaw energii – największe inwestycje w sieci przesyłowe są również prowadzone w USA i Chinach.

Duopol, a potem długo nic

Inne państwa też dostrzegają konieczność tworzenia modeli i infrastruktury niezależnych (przynajmniej do pewnego stopnia) od duopolu Ameryki i Państwa Środka. Władze Indii widzą dużą szansę dla swojego kraju we włączeniu się do rewolucji AI. Tym bardziej że ich gospodarka świadczy usługi informatyczne dla niemal całego świata. Rezygnacja z rozwoju technologii mogłaby zagrozić funkcjonowaniu indyjskich firm. Dlatego rząd wspiera zarówno produkcję komponentów informatycznych, jak i budowę niezbędnych dla ekosystemu AI centrów danych.

Pod względem mocy obliczeniowych w 2024 r. Indie uplasowały się na trzeciej pozycji w Azji (z niewielką stratą do Japonii), osiągając tylko jedną trzecią chińskiej mocy (według Cushman&Wakefield). W planach jest dobicie do poziomu dwóch trzecich chińskich mocy obliczeniowych do 2030 r. Kontrolowany przez najbogatszego mieszkańca Indii Mukeshę Ambaniego konglomerat Reliance Industries razem z Metą (właścicielem Facebooka) ogłosiły niedawno plany budowy dużych centrów danych. Z kolei Adani Enterprises łączy siły z Google, z którym zamierza w ciągu kilku następnych lat postawić centra danych za 15 mln dol. Ponadto czołowi gracze w sztucznej inteligencji, czyli OpenAI, Google czy Perplexity, oferują darmowy dostęp do swoich usług w Indiach.

Również Stary Kontynent ma w planach budowę gigafabryk AI w celu osiągnięcia cyfrowej niezależności. Świadczy o tym np. niedawno ogłoszona współpraca między Komisją Europejską a Europejskim Bankiem Inwestycyjnym. Ich ambicją jest „uczynić z Europy czołowym kontynentem AI”. Wcześniej zapowiedziano budowę pięciu centrów danych w ramach inicjatywy InvestAI, na którą UE wyasygnowała 20 mld euro. Fundusze te mają posłużyć m.in. Deutsche Telekom i jego partnerowi do budowy dużego centrum danych w Niemczech. Europejczycy rozwijają też modele sztucznej inteligencji, a największe nadzieje pokładane są we francuskim Mistral AI.

Powodzenie któregoś z uczestników rywalizacji nie oznacza od razu przegranej konkurentów. Możemy się spodziewać dynamicznej rywalizacji – palma pierwszeństwa będzie przechodzić z rąk do rąk.

©P

Autor jest profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu

Ustawa KSC znowu do poprawki

Drugie czytanie nowelizacji ustawy o Krajowym Systemie Cyberbezpieczeństwa w Sejmie nie przyniosło ostatecznego rozstrzygnięcia, a projekt, zamiast trafić pod głosowanie, został ponownie odesłany do Komisji Cyfryzacji, Innowacyjności i Nowoczesnych Technologii. Choć rząd przekonuje, że nowe przepisy to konieczna tarcza przed rosyjskimi cyberatakami i realizacja dyrektywy NIS2, opozycja punktuje przeregulowanie względem unijnego prawa, ryzyko korupcji oraz zagrożenie dla funkcjonowania polskich firm, zarzucając koalicji rządzącej brak realnego dialogu ze stroną społeczną.

Obrady nad projektem ustawy o zmianie ustawy o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa rozpoczęło wystąpienie Pawła Bliźniuka, posła z Koalicji Obywatelskiej, który przekonywał, iż jest on efektem konsensusu, rzetelnej pracy legislacyjnej opartej na dialogu. Jako dowód na otwartość koalicji rządzącej i uwzględnienie postulatów rynku, wskazał na przyjęcie poprawki wydłużającej okres dostosowawczy dla podmiotów objętych ustawą z sześciu do dwunastu miesięcy. Podkreślał też, że projekt jest absolutnie kluczowy z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa, obywateli i gospodarki, argumentując, że zmiany legislacyjne w tym zakresie są potrzebne „na wczoraj”. Zwracał uwagę, że ustawa porządkuje system, wprowadzając jasny podział na podmioty kluczowe i ważne, co ma fundamentalne znaczenie dla funkcjonowania newralgicznych obszarów, takich jak szpitale, sieci energetyczne czy bankowość. Dlatego zaapelował o uchwalenie projektu, nazywając go wyważonym, przemyślanym i koniecznym krokiem w stronę ujednolicenia standardów bezpieczeństwa na poziomie europejskim.

Opozycja punktuje przeregulowanie

Obraz nakreślony przez sprawozdawcę zderzył się jednak z krytyką przedstawicieli klubów opozycyjnych. Jako pierwszy głos zabrał Sebastian Łukasiewicz z PIS, który wprost zarzucił mijanie się z prawdą. Według niego, dyskusja na komisji była iluzoryczna, a głos przedsiębiorców systematycznie ignorowany, m.in. poprzez składanie wniosków formalnych ucinających debatę. Oceniał, że ustawa jest procedowana w trybie „walca legislacyjnego”, a w porównaniu do unijnej dyrektywy NIS2, polski projekt jest rażąco przeregulowany. Głównym punktem zapalnym okazała się kwestia dostawców wysokiego ryzyka, która według opozycji jest „wtoczką”, pozwalającą administracji rządowej arbitralnie decydować o tym, który dostawca technologii jest bezpieczny, a który nie, co może prowadzić do strat finansowych. Klub PiS zgłosił poprawki, domagając się wydłużenia okresu karencji dla kar nakładanych na przedsiębiorców do dwóch lat, argumentując to troską o kondycję szpitali samorządowych, które mogą nie udźwignąć kosztów wdrażania nowych wymogów.

W obronie projektu i procedowania stanęli przedstawiciele koalicji rządzącej. Izabela Bodnar z Polski 2050 zdecydowanie zaprzeczyła tezie, jakoby strona społeczna została zignorowana. Posłanka argumentowała, że odbyły się konsultacje, a resort cyfryzacji odpowiadał na każdą wątpliwość zgłaszaną przez rynek. W jej ocenie straszenie przedsiębiorców drastycznymi skutkami ustawy jest manipulacją, a same regulacje są niezbędne w obliczu tysięcy ataków na polską infrastrukturę.

Z kolei Michał Gramatyka, również reprezentujący Polskę 2050 (poseł i wiceminister cyfryzacji), chwalił nowelizację jako „dobre prawo z dobrym nadzorem”, przywołując przykłady zagrożeń, takie jak blackouty czy paraliż systemów transportowych, które

mogą być skutkiem zaniedbań w cyberprzestrzeni. Bronił także koncepcji Toolbox 5G, uznając ją za konieczne narzędzie w dobie zagrożeń hybrydowych. O zaletach regulacji mówiła także Joanna Wicha, posłanka Lewicy, zwracając uwagę, że cyfrowa infrastruktura jest dziś tak samo krytyczna jak ta fizyczna, a jedno włamanie może zatrzymać całą linię kolejową, co uzasadnia konieczność posiadania przez państwo twardych narzędzi reakcji.

Widmo korupcji

Debata nabrała temperatury, gdy na mównicę weszli pozostali przedstawiciele opozycji. Jarosław Sachajko z koła Kukiz'15 skrytykował projekt za tworzenie „iluzji bezpieczeństwa” opartej na biurokracji, segregatorach z procedurami i centralizacji, a nie na realnych kompetencjach. Włodzimierz Skalik z Konfederacji Korony Polskiej, wniósł o odrzucenie projektu w całości, wyliczając, że ustawa niepotrzebnie rozciąga rygorystyki NIS 2 na aż 18 sektorów gospodarki, co jest ewenementem na skalę Unii Europejskiej i może dotknąć 40-60 tys. podmiotów. Poseł alarmował, że tak szeroki zakres regulacji stwarza ogromne pole do nadużyć i korupcji przy rozstrzyganiu przez urzędników, kto jest, a kto nie jest dostawcą wysokiego ryzyka. W jego ocenie, nowela naraża polskie firmy na konieczność wymiany sprawnego sprzętu o wielomiliardowej wartości, co uderzy w konkurencyjność gospodarki.

Przypomniał, że posłowie zgłosili poprawki do noweli uwzględniające również wspomniane liczne zastrzeżenia strony społecznej. Niestety niemalże wszystkie zostały odrzucone.

- Odpowiedź strony rządowej jest przeważnie taka, że wymaga tego bezpieczeństwo państwa i zamyka dyskusję – dodał, zaznaczając, że stosowanie nowej ustawy będzie stanowić dodatkową trudność, gdyż będzie wymagać nie tylko interpretacji postanowień nowych, ale także aktu głównego nadal obowiązującego. Tymczasem projekt nie jest adresowany tylko do prawników, lecz też do osób, które nie mają takiego wykształcenia, a będą zobowiązane do stosowania tej regulacji w praktyce. Problem prac nad tą nowelą polega na tym, że dotychczas nie było realnej dyskusji merytorycznej nad postanowieniami nowel wywołującymi krytyczne uwagi.

Bartłomiej Pejo z Konfederacji, zwrócił uwagę na fakt, że Komisja Europejska pracuje już nad nowymi przepisami dostawców wysokiego ryzyka, które wejdą za 12 miesięcy, co sprawia, że polska nowelizacja może stać się nieaktualna niemal natychmiast po wejściu w życie. Zasugerował przyjęcie dyrektywy NIS2 w wersji „czystej”, bez kontrowersyjnych zapisów, w tym „zbędnego Toolbox'a”, skoro nadchodzą nowe unijne przepisy – by uniknąć konieczności szybkiej nowelizacji. Dodał, że wtedy będzie można dalej pracować nad innymi rozwiązaniami. Poseł przypomniał także o istotnej poprawce, którą zgłaszał, a dotyczącej stosowania Kodeksu Postępowania Administracyjnego w procedurze uznawania dostawcy za podmiot wysokiego ryzyka. Jego zdaniem, obecny kształt

ustawy, wyłączając standardową ścieżkę administracyjną, oddaje los firm w ręce urzędniczej uznaniowości bez możliwości skutecznej obrony.

Lawina pytań

Po wystąpieniach klubowych nastąpiła seria pytań do przedstawicieli Ministerstwa Cyfryzacji, która pokazała skalę obaw posłów o praktyczne skutki wdrożenia ustawy. Dopytywano o przyczyny tak szerokiego katalogu podmiotów objętych ustawą, wskazując, że wciągnięcie w ten reżim jednostek samorządu terytorialnego czy uczelni wykracza poza wymogi unijnej dyrektywy. Pytano o finanse, w tym o to, czy rząd policzył koszty, jakie poniosą przedsiębiorcy i szpitale, oraz czy przewidziano jakiegokolwiek fundusz wsparcia lub rekompensat dla podmiotów zmuszonych do wymiany sprzętu. Obawy budziło ryzyko, że małe i średnie firmy, a także zadłużone placówki medyczne, mogą nie udźwignąć ciężaru nowych obowiązków audytowych i inwestycyjnych.

Wiele pytań dotyczyło samej procedury uznawania dostawców za niebezpiecznych. Poproszono o podanie konkretnych, mierzalnych kryteriów, jakimi minister cyfryzacji będzie się kierował, wydając takie decyzje, aby uniknąć zarzutu uznaniowości. Pytano również, czy w ministerstwie istnieje już gotowa lista podmiotów, które zostaną uznane za dostawców wysokiego ryzyka. Przy okazji wskazano na ryzyko prawnego chaosu i dublowania się obowiązków nadzorczych dla sektora finansowego, który podlega już pod unijne rozporządzenie DORA. Posłowie pytali wprost, kto będzie organem wiodącym w przypadku kolizji kompetencji i jak rząd zamierza zapobiec paraliżowi decyzyjnemu.

Rząd odpowiada, ale ustawa wraca do prac

Na wątpliwości posłów odpowiadał sekretarz stanu w Ministerstwie Cyfryzacji Paweł Olszewski oraz Paweł Bliźniuk. Odrzucili zarzuty o nadregulację, przekonując, że kierunek obrony przez Polskę jest zbieżny z tym, co planuje Komisja Europejska w nowych aktach prawnych. Podkreślili, że w kwestii dostawców wysokiego ryzyka rząd przyjął twarde stanowisko. Paweł Olszewski zapowiedział, że Polska nie cofnie się ani o krok, a oprogramowanie i sprzęt pochodzące z Rosji czy Białorusi będą eliminowane bezwzględnie, również przy użyciu kryteriów politycznych, ze względu na realne zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa.

Zapewnili, że nowe przepisy nie uderzą w małych przedsiębiorców, gdyż jej ostrze skierowane jest w podmioty kluczowe dla funkcjonowania państwa. Odnosząc się do kwestii lobbingu i nacisków, Paweł Olszewski wspominał o niejawnym notatce Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, oferując posłom dostęp do niej w trybie niejawnym, co miało uciąć spekulacje na temat zakulisowych gier wokół ustawy.

Paweł Bliźniuk, powiedział, że stroną społeczną w tym procesie są przede wszystkim obywatele, których bezpieczeństwo jest priorytetem. Argumentował, że w przypadku cyberochrony szpitali czy sieci energetycznych nie ma miejsca na oszczędności, bo stawką jest życie i zdrowie ludzi. Odnosił się również do zarzutów o brak procedowania poprawek opozycji, tłumacząc, że część z nich nie została zgłoszona na etapie prac komisji, ale obiecał pochylenie się nad nowymi propozycjami.

W związku ze zgłoszeniem w drugim czytaniu kolejnego pakietu poprawek oraz dwóch wniosków o odrzucenie projektu w całości, Marszałek Sejmu podjął decyzję o ponownym skierowaniu ustawy do Komisji Cyfryzacji, Innowacyjności i Nowoczesnych Technologii.



Materiał z serwisu partnerskiego
Cyfrowa Gospodarka

Orbán znów ma przegrać

Ogłaszanie politycznego pogrzebu Viktora Orbána jest przedwcześnie. W najbliższych wyborach zmienia się jedno – opozycja, nawet bez formalnego porozumienia, nie będzie walczyć o głosy między sobą

Dominik

Héjj

Na Węgrzech od niespełna dwóch tygodni trwa oficjalna kampania wyborcza. Ta nieoficjalna trwa już nieprzerwanie od blisko dwóch lat. We wtorek, 13 stycznia, prezydent Węgier zarządził wybory parlamentarne. Odbędą się one tydzień po Świętach Wielkanocnych – 12 kwietnia. Od dawna żaden polityczny plebiscyt nie budził takich emocji. Chociaż sondaże wieszczą zmianę, wyniki są niemożliwe do przewidzenia. Orbán liczy na czwarte z rzędu, a piąte w ogóle zwycięstwo. Jego największym rywalem jest Péter Magyar – człowiek, który w Fidesz spędził niemal całe polityczne życie. Jeden i drugi wierzy we własną siłę.

Uciekinier z Fideszu

O ile środowisko Fideszu jest opinii publicznej znane i większość Węgrów ma wobec niego określone stanowisko, o tyle Péter Magyar wciąż pozostaje zagadką. Pewne jest, że nie proponuje on rewolucji. Warto pamiętać, że do rozpoczęcia samodzielnej politycznej drogi w zasadzie został zmuszony przez okoliczności. W 2023 r. Węgry żyły jego rozwojem z minister sprawiedliwości Judit Vargą. Jak w swoim tekście z marca 2025 r. napisali András Szabó i Patrik Galavits, dziennikarze portalu śledczego Direkt36, w listopadzie 2023 r. jeden z prominentnych działaczy Fideszu przekazał mu, że nie jest już w kręgu zaufanych ludzi władzy. Dla ambitnego działacza – wtedy dyrektora Centrum Kredytów Studenckich – oznaczało to koniec okresu czerpania korzyści z orbánowskiego systemu. Wcześniej pracował w Stałym Przedstawicielstwie Węgier przy Unii Europejskiej w Brukseli.

Katalizatorem zmiany było ujawnienie afery wokół ułaskawienia osoby pomagającej tuszować pedofilię w jednym z domów dziecka. Polityczne konsekwencje dotknęły zarówno ówczesną prezydent Katalin Novák, która ustąpiła z urzędu, jak i b. minister sprawiedliwości Vargę, która wycofała się z polityki. Tego samego dnia Péter Magyar ujawnił się jako polityczny przeciwnik Fideszu. Jego program, wciąż nie w pełni zaprezentowany, sprowadza się jednak przede wszystkim do walki z korupcją, rozliczenia rządów Fideszu, uwolnienia unij-

nych środków, a także poprawy sytuacji w służbie zdrowia i szkołach.

Gdy wiosną 2024 r. Magyar ogłosił chęć startu w wyborach do Parlamentu Europejskiego, okazało się, że nie zdąży dopełnić formalności związanych z założeniem własnej partii. Znalazł więc już istniejące ugrupowanie o nazwie, która mu odpowiadała – TISZA (to węgierska nazwa rzeki Cisy, ale także akronim słów Szacunek i Wolność) – i porozumiał się z jego założycielami co do przejęcia. Ideowo Fidesz i TISZA w zasadzie się nie różnią. Może się okazać, że dzisiejsze rozgrywki są przynajmniej w jakiejś mierze walką o przywództwo na prawicy po Viktorze Orbanie.

Orbán planuje rządy do 2040 r.

Viktor Orbán rządzi nieprzerwanie od 16 lat, a gdy dodać do tego okres między 1998 a 2002 r., to daje dwie dekady. Od lat wybory na Węgrzech w zasadzie mogłyby się nie odbywać, ich rezultat był bowiem łatwy do przewidzenia – cokolwiek się stanie, wygra Fidesz, a premier Orbán pozostanie szefem rządu. Działo się tak z dwóch powodów. Po pierwsze, żadna siła polityczna nie była w stanie mierzyć się z machiną polityczno-państwową Fideszu. Po drugie, ordynację wyborczą dostosowywano do rozkładu poparcia dla partii rządzącej. Dzięki temu nawet ze spadającym poparciem Fidesz gwarantował sobie większość.

Nieraz już czytaliśmy komentarze, że „tym razem to Orbán już na pewno przegra”. Tak wynikało z prognoz, a kończyło się utrzymaniem przez Fidesz władzy. Warto dodać, że w exposé z 2018 r. Viktor Orbán stwierdził, że będzie rządzić do 2030 r. Pięć lat później podbił stawkę o dekadę. Uznał, że utrzymanie władzy do 2040 r. jest możliwe.

Rządzącym sprzyjają, poza ordynacją, także media (ok. 80 proc. rynku sympatyzuje z parlamentarną większością) oraz nieograniczony dostęp do finansowego zaplecza, którego dysponentem jest stworzona przez rządzących klasa oligarchów. Przestrzeń medialna pozostaje zdecydowanie zdominowana przez środowiska prorządowe. Mowa tu i o mediach państwowych, i o prywatnych, które przez lata powstawały, by wspierać rządzących. Nowe elity gospodarcze, które co prawda zastąpiły po



2010 r. te postkomunistyczne, ale szybko rozpoczęły proces patologicznej tranzykcji w oligarchię, zaciągały u rządzących dług wdzięczności, który do dziś spłaca. Między innymi zakładały gazety, telewizje, portale internetowe. Skupowały tytuły niesprzyjające władzy po to, by je następnie zamknąć (tak w 2016 r. stało się z największą lewicową gazetą „Népszabadság”) lub przestawić na „właściwe tory”, jak miało to miejsce w przypadku portalu Origo oraz Index. Nieustająca nagonka na opozycję wpływa absolutnie zewsząd.

Jeżeli tym razem sondaże się ziszczą, do parlamentu wejdą prawdopodobnie dwie partie – Fidesz i TISZA, a więc Orbán z Magyarem podzielił się tortem. Na granicy progu wyborczego balansują jeszcze dwa ugrupowania, których przyszłość do końca nie będzie jasna. Chodzi o skrajnie prawicową Naszą Ojczyznę i liberalną Koalicję Demokratyczną. Większe szanse na wejście do parlamentu ma Mi Hazánk Mozgalom (Ruch Naszej Ojczyzny). Jeżeli to się jej uda, to w parlamencie znajdą się trzy partie prawicowe, które różnią się jedynie stopniem skrajności. W tym porównaniu TISZA byłaby „na lewo”, Fidesz w środku, a przy prawej ścianie Mi Hazánk.

Coraz więcej małych partii wycofuje się z rywalizacji. To pomoże Magyarowi z uwagi na to, że osoby zdecydowane na udział w wyborach najczęściej oddawały głosy na Fidesz. Jakikolwiek inne byty, także „polityczny plankton”, który po węgiersku określa się mianem „partyjek kanapowych”, odbierał poparcie opozycji. W ten sposób wycofała się z wyborczej rywalizacji np. partia Polityka może być inna, która w owej polityce funkcjonuje od wielu lat. Działania poszczególnych ugrupowań nie są jednak realizacją jakiegoś szerszego porozumienia między Péterem Magyarem a poszczególnymi liderami, nie jest to ruch „anty-Fidesz”. Co ciekawe, Gábor Vona, niegdyś lider prawicowego Jobbiku, a teraz partii pod nazwą Druga Era Reform, poinformował, że nie ufa Magyarowi, ale innym kandydatom TISZA już tak.

Powrót do niedawnej przeszłości

Przyglądając się kampanii wyborczej, można się poczuć, jakbyśmy się cofnęli o cztery lata. Narracja rządzących jest identyczna jak w 2022 r. Jedynie gło-



FOT. CHRISTOPHE PETIT TESSON/EPA/PAP

sowanie na Fidesz ma gwarantować „trzymanie się z daleka od wojny”. Od miesięcy parlamentarzyści Fideszu i pro-rządowe media wmawiają Węgrom, że partię TISZA założyła Służba Bezpieczeństwa Ukrainy, a Magyar jest tak naprawdę marionetką w rękach prezydenta Zełenskiego. Teza ta jest o tyle absurdalna, że stanowiska obu konkurentów w sprawie Ukrainy pokrywają się. Oba środowiska nie chcą wysyłania wojsk na wschód, finansowania broń i Kijowa, a także jego członkostwa w NATO. Partie różni nieco podejście do obecności Ukrainy w Unii Europejskiej. O ile Orbán taką możliwość całkowicie wyklucza, o tyle Magyar nie, jednak obstaje przy tym, by rozmowy akcesyjne toczyły się w normalnym tempie, a nie w procedurze przyspieszonej.

Przekaz o ukraińskich korzeniach partii Magyara dominuje jednak w mediach prorządowych, które docierają do największego odsetka odbiorców, co szczególnie ważne, także poza dużymi ośrodkami miejskimi. TISZA jednak bardzo wysoko zawiesiła poprzeczkę w mediach społecznościowych, które zazwyczaj były domeną Orbána. Magyar pozostaje aktywny w założonej przez siebie grupie na Facebooku, na której wchodzi w regularne interakcje. Jego

Péter Magyar (w środku) reaguje na wystąpienie Viktora Orbána na sesji plenarnej Parlamentu Europejskiego. 9 października 2024 r.

przekaz zaczął trafiać do młodszych odbiorców

Dość żenujące próby odbicia tej grupy i ocieplenia wizerunku widać na profilu Viktora Orbána, lecz także profilach rządowych w mediach społecznościowych. Zaczęły się na nich pojawiać absurdalne i nieliczące z powagą urzędu materiały filmowe, np. o sposobach radzenia sobie z jetlagiem. W okresie świątecznym pytano o to, czy ministrowie kupili już prezenty.

Z uwagi na to, że Péter Magyar nie liczy na przepływ elektoratu Fidesz i wziął pod skrzydła niemal cały osierocony elektorat opozycji, nie musi się tak przejmować tym, jakie informacje dopływają do miejscowości, w których i tak nie ma szans wygrać.

Dla wyborczego rezultatu kluczowa będzie frekwencja. Przewagą Fide-

szu jest to, że dysponuje bardzo zdyscyplinowanym elektoratem. W ostatni poniedziałek, w przemówieniu na Narodowym Forum Samorządów Terytorialnych, Viktor Orbán stwierdził jednak, że to lokalni władze powinni zadbać o skuteczną mobilizację i dyscyplinę wyborców. To o tyle istotne, że Fidesz po wyborach samorządowych w 2024 r. kontroluje wszystkie sejmiki komitackie (wojewódzkie) i prawie trzy czwarte miast na prawach komitatów (odpowiednik polskich miast na prawach powiatów). W swoim wystąpieniu premier podkreślił, że rządzenie krajem bez silnych powiązań z administracją samorządową jest niemożliwe, ponieważ prawdziwy autorytet i zaufanie buduje się na lokalnych doświadczeniach, a nie na krótkich kampaniach wyborczych. To jednak Fidesz w 2010 r. dokonał radykalnej centralizacji państwa poprzez odebranie kompetencji samorządom, m.in. w zakresie prowadzenia szkół podstawowych i średnich, a także szpitali – wraz ze znaczną częścią finansowania.

Ordynacja wciąż w służbie Orbána?

W dniu wyborów Węgrzy otrzymują dwie karty do głosowania. Jedną na kandydata w danym okręgu jednomandatowym (jest ich 106), drugą na listę krajową (partyjną), z której do parlamentu wejdzie 93 parlamentarzystów. Przeprowadzając reformę ordynacji w 2011 r., Fidesz zdecydowanie zwiększył udział posłów wywodzących się z JOW. Mapa tych okręgów pokrywa się z poparciem Fideszu, a ostatnia aktualizacja okręgów została przeprowadzona pod koniec 2024 r. Zniesiono też dwie tury głosowania. W okręgu jednomandatowym można więc wygrać jednym głosem. To sprawia, że w wielu okręgach kandydat Fideszu uzyskuje np. 35 proc. i zgarnia całą pulę. Rzecz jasna w niektórych przewaga osiąga kilkadziesiąt punktów procentowych.

Fidesz wprowadził zasady kompensacji zwycięzcy i przegranego. O ile ta druga jest stosowana w innych systemach wyborczych, o tyle ta pierwsza jest węgierskim fenomenem. Kompensacja przegranego: jeżeli kandydat B zajął w okręgu 2. lub 3. miejsce i nie zdobył mandatu, jego głosy nie przepadają – są dodawane do ogólnokrajowej puli na listę partyjną, co ma umożliwić ugrupowaniu zdobycie dodatkowych mandatów z listy. Ale jest także lista zwycięzcy. Jeśli kandydat Fideszu wygra w okręgu, to głosy, które zdobył ponad to, co było mu potrzebne do zwycięstwa, również trafiają na listę krajową. Trzeba wiedzieć, że Fidesz zazwyczaj wygrywał z opozycją znacznie.

Jak to wygląda w praktyce? Jeśli kandydat A uzyskał 20 tys. głosów, a kandydat B – 10 tys., to znaczy, że do wygranej potrzebnych było 10 001 głosów. W takiej sytuacji 9999 głosów zwycięzcy trafia do puli listy krajowej. W 2022 r. takich „matematycznych” głosów, będących wynikiem systemu liczenia, a nie rzeczywistego poparcia, było w ogólnej puli głosów aż 40 proc., a w 2018 r. Fidesz zdobył ok. 49 proc. rzeczywistych głosów, ale dzięki temu

mechanizmowi (i kilku innym) uzyskał 67 proc. miejsc w parlamencie, co dało mu większość konstytucyjną.

Dlaczego sytuacja w tych wyborach jest inna? Prawdopodobnie po raz pierwszy w historii opozycyjna partia, w tym przypadku TISZA, nie będzie miała kontrkandydatów. Oznacza to, że ugrupowania antyrządowe nie będą się kanibalizować. Gdyby w 2018 r. opozycja współpracowała, to w samym Budapeszcie mogła zgarnąć aż sześć mandatów, co skutkowałoby niedopuszczeniem do większości konstytucyjnej Fideszu. Z dzisiejszej perspektywy byłyby to zupełnie inne Węgry.

W 2022 r. chociaż opozycja szła pod jednym szyldem, wybory odbyły się sześć tygodni po rosyjskim ataku na Ukrainę. Zadziały „efekt flagi” oraz medialna nagonka na opozycję, w której twierdzono, że ta wysłała wojska węgierskie na pomoc Kijowowi.

Warto wspomnieć o głosach korespondencyjnych. Oddawać je może w zasadzie wyłącznie diaspora – potencjalnie kilkaset tysięcy osób, z których co najmniej 90 proc. popiera Fidesz z wdzięczności m.in. za przyznanie Węgrom z zagranicy obywatelstwa i czynnego prawa wyborczego.

Czy Trump przyleci z pomocą?

Wiele przedwyborczych predykcji sformułowanych było na podstawie danych z Polymarket, portalu, którego użytkownicy mogą obstawiać wyniki różnych wydarzeń na świecie (w polityce, sporcie czy popkulturze). Niejednokrotnie przewidywania tego portalu pokrywały się następnie z rzeczywistością.

Prognoza z początku tego tygodnia (19 stycznia) dotycząca tego, kto będzie nowym premierem, wskazuje, że Magyar i Orbán idą łeb w łeb (odpowiednio uzyskując 51 proc. i 48 proc.). Natomiast w ujęciu ostatnich tygodni widać coraz większą wiarę w zwycięstwo Orbána. Różnica pomiędzy politykami jest najmniejsza od sierpnia. Bardziej wiążące prognozy będzie można sformułować dopiero bliżej wyborów. Obie strony szykują zapewne wydarzenia, które mają pomóc w przekonaniu wyborców niezdecydowanych do wzięcia udziału w wyborach. Ten odsetek w niektórych badaniach opinii publicznej sięga nawet 30 proc. Co przygotowuje TISZA, nie wiadomo. Dla Fideszu punktem zwrotnym ma być natomiast konferencja Conservative Political Action Conference, która ma odbyć się pod koniec marca. Prawicowe środowisko bardzo liczy na udział w niej Donalda Trumpa, który miałby wesprzeć obecnego węgierskiego premiera. Wizyta prezydenta USA wciąż nie została jednak oficjalnie potwierdzona. ©©



Dominik

Héjj

doktor nauk społecznych w zakresie nauk o polityce. Analityk polityki węgierskiej

FOT. MIKOŁAJ SZARZYŃSKI/MATERIAŁ PRASOWY

Kraj

Cyfrowe Ferrari bez hamulców

Chcieliśmy cyfrowej państwowej administracji – to ją mamy.
Ale bez wystarczających zabezpieczeń

Sebastian

Stodolak

To była wolna amerykanka. Chaos. Improvizacja. O fakturach piszę. Firmy wystawiały je sobie, posługując się dowolnym programem księgowym. Faktury mogły mieć różne formaty, układy i zawierać różne dane. Mogły być zapisane jako dokument PDF, ale mogły być też papierowe. Doręczenie odbywało się e-mailem, kurierem, pocztą. Właściwie mogliśmy je sobie wysłać pocztą gołębią. Ale koniec z tym.

Od 1 lutego dla dużych firm, a od 1 kwietnia dla pozostałych podatników VAT rusza obowiązkowy Krajowy System e-Faktur. Odtąd faktury będą wystawiane w państwowym programie, w jednym formacie i z konkretnym zestawem danych. Będą przechowywane w państwowym rejestrze, a nie w archiwach firm, a fiskus będzie miał do nich dostęp w czasie rzeczywistym.



CYFRYZACJA

stym. Wreszcie zapanuje transparentność i porządek.

Minister finansów Andrzej Domański nachwalić się nie może. Jak przekonywał niedawno w radiowej Jedynce, „z KSeF będzie tak, jak z e-receptami. Najpierw wiele obaw, a później nikt z nas nie wyobraża sobie powrotu do papierowych. Korzyści wejścia w życie KSeF-u są potężne. Te tony papieru, które zalegają w polskich firmach, przejdą do historii”.

Wszystko pięknie, ładnie – bo cóż złego w cyfryzacji, prawda? Niestety, wiele, jeśli nie instaluje się w systemie odpowiednich bezpieczników – a to właśnie dzieje się w przypadku Polski.

Silnik od Ferrari

Nasze państwo zaopatrzyło administrację w cyfrowy silnik od Ferrari, lecz mechanizmy kontrolne wciąż przypominają hamulce od hulajnogi. W efekcie modernizacja państwa oznacza nie tyl-

ko usprawnienie, ale wiąże się z ryzykiem – dla nas, obywateli. Owszem, idea cyfryzacji państwa jest nośna i ma szerokie społeczne poparcie. Chodzi przecież m.in. o to, by ułatwić kontakt obywatela z urzędem, obniżyć koszty funkcjonowania administracji, zwalczać przestępców. Problem w tym, że osiąga się to, wprowadzając coraz sprawniejsze systemy pozyskiwania, przechowywania i przetwarzania danych. Słowem, im bardziej państwo jest scyfryzowane, tym z definicji więcej o nas wie albo przynajmniej może wiedzieć. Mowa o właściwie każdym, nie tylko finansowym, aspekcie naszego życia.

Cyfrowa saga III RP trwa już ponad ćwierć wieku. Zaczęło się od ZUS, gdy pod koniec lat 90. przy okazji reformy systemu emerytalnego wprowadzono Kompleksowy System Informatyczny, który scentralizował w państwowym repozytorium szczegółowe dane o Polakach: od identyfikacji osoby i jej relacji z pracodawcami, przez informacje o dochodach, składkach, przerwach w pra-

cy i zaległościach aż po dane determinujące prawa emerytalne i socjalne. Potem przez niemal dekadę nie wdrożono żadnego równie imponującego systemu i w informatyzacji państwa nastąpiła epoka silosów, czyli tworzenia wielu odrębnych i nieskoordynowanych systemów. Cyfryzacja zamarła.

To zaczęło zmieniać się w 2008 r., gdy wystartował system e-Deklaracje, który umożliwił elektroniczne składanie deklaracji podatkowych. Dzisiaj – po uzupełnieniu o nakładkę e-PIT – działa naprawdę sprawnie. Jeden klik i jestem rozliczony z fiskusem. Gdy ruszały e-Deklaracje, powstawał system ePUAP i Profil Zaufany. Nie narzekam. Wygodne narzędzia, ale ceną ich wprowadzenia było przekazanie państwu kolejnych informacji: tym razem numerów telefonów. Utworzenie w 2011 r. Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej (CEIDG), czyli przeniesienie danych z poziomu gmin na poziom stolicy, z jednej strony ułatwiło sprawdzanie kontrahen-

tów i otwieranie firm (jedno okienko), ale z drugiej pozbawiło przedsiębiorców prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą prywatności. Upubliczniono bowiem adresy firm w sieci, a w przypadku wielu JDG adresem firmy jest adres domowy.

Rok 2016 to z kolei jednolity plik kontrolny (JPK), ograniczający machlojki, ale jednocześnie pozwalający państwu na mapowanie sieci powiązań handlowych B2B. W 2019 r. ruszył Centralny Rejestr Beneficjentów Rzeczywistych (CRBR), ujawniający osoby fizyczne stojące za strukturami korporacyjnymi.

Prawdziwym przełomem w gromadzeniu danych o firmach było jednak to, co wydarzyło się rok wcześniej, gdy wdrożono System Teleinformatyczny Izby Rozliczeniowej (STIR). Jego głównym zadaniem jest monitorowanie w czasie rzeczywistym przepływów finansowych między rachunkami bankowymi przedsiębiorców w celu wykrywania nietypowych operacji, które mogą wskazywać np. na wyłudzenia VAT czy pranie pieniędzy. Umożliwia on automatyczną analizę i – w razie wykrycia anomalii – natychmiastową blokadę rachunku firmy na 72 godziny. Efekt? Tajemnica bankowa stała się fikcją. Arbitralność państwa wzrosła.

Tegoroczne wprowadzenie KSeF to domknięcie finansowego monitoringu Polaków. Transakcje finansowe stają się przejrzyste dla państwa – przestają być prywatnym kontraktem. Ich potwierdzenie staje się prerogatywą państwa.

Zdrowie jest najważniejsze

Dane o dochodach firm i obywateli to naturalne obszary zainteresowań państwa, które potrzebuje nieustannie nowych środków. Wprowadzenie wyżej wymienionych narzędzi przełożyło się na skuteczniejsze zwalczanie oszustw podatkowych i odzyskanie wielu miliardów złotych dla budżetu państwa. Nic dziwnego, że to od tego zaczęto cyfryzację.

Ale przecież, jak mawiają babcie, to zdrowie jest najważniejsze. Rząd też tak sądzi. Cyfryzacja rozszerzyła swój zakres o kwestie zdrowotne w 2013 r. wraz z wdrożeniem systemu e-WUŚ (Elektroniczna Weryfikacja Uprawnień Świadczeniobiorców). System miał weryfikować prawa do świadczeń zdrowotnych, ale dał też państwu narzędzie do śledzenia aktywności pacjentów w systemie ochrony zdrowia. W 2019 r. odpalono program e-Recepta i – proszę! – obywatel stracił możliwość dyskretnego leczenia się, bo wiedza o każdej tabletkie przepisanej przez lekarza stała się dostępna dla organów kontrolnych i (w określonych przypadkach) śledczych. Z kolei w 2021 r. ruszyło e-Skierowanie, dostarczając resortowi zdrowia danych o ścieżkach leczenia pacjentów. W latach 2021–2022 wprowadzono SIM, System Informacji Medycznej, oraz RZM, Rejestr Zdarzeń Medycznych. Oznaczało to nowy obowiązek raportowania przez placówki (także prywatne) wizyt, diagnoz i procedur (w tym kontrowersyjny „Rejestr Ciąż”). ▷



FOT. ALPHASPIRIT.IT/SHUTTERSTOCK

W międzyczasie rozbudowywano pozostałe bazy danych – m.in. tych pozwalających na wykrycie, gdzie znajdował się i znajduje obywatel w czasie rzeczywistym.

W 2015 r. uruchomiono System Rejestrów Państwowych, co pozwoliło na wykrywanie sprzeczności w danych osobowych pomiędzy gminnymi bazami danych. W 2017 r. wprowadzono CEPiK 2.0. Centralna Ewidencja Pojazdów i Kierowców poza spisem pojazdów gromadzi dane o przebiegu aut, dając wgląd w historię techniczną. W 2017 r. ruszyła aplikacja mObywatel, generując metadane o cyfrowych zachowaniach Polaków. W 2020 r. Rejestr Danych Kontaktowych pozwolił administracji na wykrywanie fikcji meldunkowej poprzez powiązanie numeru PESEL z telefonem i e-mailem.

Podsumowując, państwo wie dzisiaj „od ręki”, ile zarabiamy, na co chorujemy, dokąd i czym jeździmy, ile mamy dzieci, gdzie mieszkamy i jak namierzyć naszą lokalizację. Wykorzystując te dane, może robić więcej, niż tylko rozliczać nasze podatki, wystawiać mandaty czy planować polityki publiczne, a mianowicie może zrekonstruować całe nasze życie w czasie rzeczywistym. Granica między administracją a nadzorem nie przebiega już na poziomie intencji urzędnika, lecz na poziomie zdolności systemu. Państwo nie musi chcieć wiedzieć wszystkiego tu i teraz – wystarczy, że może.

Najpoważniejszym problemem nie jest więc to, że państwo zbiera dane, lecz to, że jednostka nie ma realnej możliwości sprawdzenia, jakie wnioski zostały z tych informacji wyciągnięte i do czego są używane. Tworzy to infrastrukturę gotową na nadużycie.

Naród na podsłuchu

Zwykle, gdy mowa o danych cyfrowych i związanych z nimi nadużyciach, wskazuje się na właścicieli portali społecznościowych. To big tech, mówi się, może wiedzieć o nas niemal wszystko. Analizując lajki, wcześniej niż my, wie, że się rozwiędziemy, zachorujemy na raka albo uzależnimy się od papierosów. I wiedzę tę – bez naszej zgody – może komercjalizować. Ta popularna narracja – obecna choćby w książce „Kapitalizm inwigilacji” Shoshany Zuboff – prowadzi wielu ekspertów do wniosku, że przed cyfrowym wyzyskiem uratować nas może rząd. Nie będę polemizował z tą opinią w tym artykule – powiem tylko, że ewentualną pomoc władzy uwiarygodniłoby, gdyby ona sama danymi, które pozyskuje, dobrze się opiekowała.

Tak jednak nie jest. O ile realne aspiracje rządu w dziedzinie wiedzy o obywatelach nie są mniejsze niż aspiracje wielkich korporacji, o tyle potencjał do szkodliwego wykorzystania tej wiedzy jest znacznie większy. Przyczyna jest prosta: to rząd, a nie korporacje, dysponuje monopolem na przemoc, a jego działaniem kierują często motywy znacznie mniej zrozumiałe niż po prostu zysk. Rządy od zawsze chciały wiedzieć o obywatelach jak najwięcej, a w dobie technologii AI i big data pozyskanie tych danych staje się coraz łatwiejsze. Ewentualne nadużycia, wycieki, kradzieże stają się z definicji poważniejsze – bo podlega-

ją wyskalowaniu na całą populację. Dotyczyć potencjalnie wszystkich, a nie tylko wybranych czy dostępnych.

Jeszcze w 2010 r. inwigilacja była rzemiosłem wymagającym czasu, ludzi i fizycznego wysiłku. Funkcjonariusz państwa, chcąc przeświecić obywatela, musiał ręcznie zebrać rozproszone informacje: pisać pisma do banków, jechać do przychodni po dokumentację, występować o bilingi, słać pisma do urzędów gmin. Ta biurokratyczna ociężałość działała jak naturalny bezpiecznik. Ten paradygmat został odwrócony. Integracja systemów takich jak KSeF, STIR czy CEPiK zmieniła inwigilację ze znużonego rzemiosła w zautomatyzowany proces. Nie trzeba szukać, wystarczy klikać. Władza może wykorzystywać tę większą wiedzę przeciw obywatelom z przyczyn politycznych, co nie jest scenariuszem hipotetycznym, lecz praktyką już udokumentowaną. Ujawnienie istnienia w Prokuraturze Krajowej systemu Hermes pokazało, że pod pozorem zakupu neutralnego oprogramowania analitycznego zbudowano narzędzie służące do profilowania sędziów i prokuratorów, z pominięciem procedur kontroli przewidzianych dla czynności operacyjno-rozpoznawczych. Podobny mechanizm ujawniła afera „Grupa Wejście”, w której dane retencyjne – bilingi i lokalizacja telefonów – były wykorzystywane wobec dziennikarzy śledczych i adwokatów w celu obejścia tajemnicy dziennikarskiej i adwokackiej oraz identyfikacji źródeł przecieków niewygodnych dla rządzących.

Może nam się wydawać, że takie afery dotyczą wyjątkowo wąskiej grupy ludzi – elit – a nie zwykłych obywateli. Prawda jest taka, że rocznie służby składają od 6 tys. do 10 tys. wniosków o kontrolę operacyjną. Liczne te nasze elity, prawda? A sądy akceptują średnio 99,6 proc. z nich, pełniąc de facto rolę notariuszy, a nie strażników... Jeszcze gorzej wygląda masowa inwigilacja poprzez retencję danych (bilingi, lokalizacja). Po te informacje służby sięgają blisko 2 mln razy rocznie – poza kontrolą sądową. Na masową skalę mechanizm ten zastosowano np. podczas protestów Strajku Kobiet w 2020 r., kiedy to policja legitymowała uczestników, a następnie przetwarzała ich dane w systemie KSIP pod kątem kryminalnym, tworząc swoiste listy proskrypcyjne osób korzystających z konstytucyjnego prawa do zgromadzeń. Co więcej, choć każdy z nas może być przeświecany i podsłuchiwany, to przez lukę w prawie nigdy się zapewne o tym nie dowie. Tę systemową samowolę potęgował Europejski Trybunał Praw Człowieka (ETPC), uznając ją za naruszającą prawa człowieka.

Kto otwiera drzwi?

Nie jest, rzecz jasna, tak, że projektanci polskiej cyfryzacji nie zadbali o żadne zabezpieczenia. Rdzeń rządowej infrastruktury chroniony jest przez zaawansowane standardy szyfrowania, dedykowane tunele VPN oraz całodobowy monitoring wykrywający anomalie sieciowe i ataki zewnętrzne. Niestety, większość zabezpieczeń zaprojektowano głównie do obrony przed włamaniem z zewnątrz. W starciu z naduży-

ciem wewnętrznym okazują się one nieskuteczne. Dlaczego? Bo choć systemy informatyczne weryfikują techniczne uprawnienia użytkownika (czy posiada klucz?), to nie potrafią ocenić zasadności jego działań (dlaczego otwiera drzwi?). Słowem: słabością jest człowiek. Polityk nie musi już fabrykować dowodów. Wystarczy, że nieformalnie zleci „analityczny audyt” oponenta, by zablokować konta firmowe pod pretekstem ryzyka podatkowego, lub użyje danych z systemu e-Zdrowie do dyskredytowania rywali informacjami o ich leczeniu psychiatrycznym. Pamiętacie, gdy w sierpniu 2023 r. ówczesny minister zdrowia, chcąc zdyskredytować lekarza krytykującego system e-recept, publicznie ogłosił, jakie leki psychotropowe ten lekarz sobie przepisał? No, właśnie.

A polski model cyfryzacji ma także wadę strukturalną. O ile systemy centralne są zaopatrywane w zabezpieczenia, a personel je obsługujący jest zwykle kompetentny, o tyle systemy „karmiące” systemy centralne już nie. Miękkim podbrzuszem okazują się niedoinwestowane urzędy gmin czy powiatowe komendy, które w architekturze sieci traktowane są jako „zaufane końcówki”. Skalę tego zagrożenia obnażają raporty NIK. Wedle jednego z nich aż 71 proc. z 24 skontrolowanych samorządów w latach 2023–2024 nie miało skutecznych planów odtwarzania systemów po awarii, a w większości jednostek brakowało profesjonalnych audytów bezpieczeństwa. W praktyce oznacza to, że drzwi do danych milionów Polaków pozostają jedynie przymknięte.

Niestety, problemem gromadzenia wiedzy o obywatelach w Polsce jest nie tylko brak zahamowań funkcjonariuszy państwa przed popełnianiem nadużyć. Wcale nie potrzeba złej woli, by scentralizowany system monitoringu obywatela notował poważne wpadki. Weźmy na warsztat raz jeszcze STIR. Mechanizm ten, stworzony do walki z karuzelami VAT, stał się narzędziem do wymierzania sprawiedliwości bez wyroku. Przykładem jest głośna sprawa spółki budowlanej, której konta zostały zablokowane na trzy miesiące wyłącznie na podstawie „wskaźnika ryzyka” wygenerowanego przez algorytm. Mimo że firma nie miała zaległości podatkowych, a jedynie jej kontrahent okazał się nierzetelny (o czym przedsiębiorca nie mógł wiedzieć), machina urzędnika zadziałała automatycznie. Dopiero wyrok Naczelnego Sądu Administracyjnego po wielu miesiącach potwierdził bezprawność blokady.

A takich przypadków – gdzie urzędnicy zasłaniają się tajemniczym „ryzykiem” systemu, by przewencyjnie zamrozić aktywa – są dziesiątki, co tworzy nową kategorię „cyfrowej śmierci cywilnej” podmiotów gospodarczych.

Nie jesteśmy wyjątkowi

Nieprawdą byłoby twierdzenie, że problem nadużyć to polska specyfika. Także doświadczenia światowych liderów cyfryzacji dowodzą, że centralizacja wszędzie generuje te same poważne ryzyka. Nie chroni przed tym ani zamożność, ani dojrzła demokracja.

W Holandii bezduszny algorytm skarbowy zniszczył życie tysiącom rodzin, profilując je rasowo i doprowadzając do bankructw, podczas gdy w Danii ślepa wiara sądów w nieomyłość systemów komputerowych poskutkowała skazywaniem niewinnych ludzi na podstawie błędnych danych geolokalizacyjnych. Nawet w państwach o ekstremalnym poziomie nadzoru, takich jak Chiny, proste niedbalstwo administratora doprowadziło do wycieku miliarda policyjnych rekordów, a w Finlandii cyfryzacja bez szantowania pacjentów psychiatrycznych ujawnieniem ich najgłębszych traum. Przypadek Irlandii Północnej, gdzie jeden błąd w arkuszu excela wystawił tysiące policjantów na cel terrorystów, jest z kolei dowodem na to, że w skali globalnej każda scentralizowana baza danych, niezależnie od intencji twórców, staje się w pewnym momencie punktem krytycznej awarii lub bronią wymierzoną w obywatela.

To wszystko wydarzyło się na przestrzeni ostatnich siedmiu lat – ale czy to, że nie jesteśmy wyjątkowi, jest pocieszeniem? Marnym. Czy oznacza, że powinniśmy zaprzestać cyfryzacji struktur państwowych? Nie. Powinniśmy jednak zaopatrzyć ją w bezpieczniki. Przykładowo: konieczne jest przeszkolenie z zakresu cyberbezpieczeństwa funkcjonariuszy publicznych na każdym szczeblu oraz wprowadzenie odpowiednich procedur postępowania – i konsekwentne ich egzekwowanie. Obecne szkolenia i procedury, jak pokazuje skala nadużyć, są niewystarczające. Potrzeba też kompleksowego cyfrowego BHP. Każda nowa baza danych musi mieć określony cel i mechanizm automatycznej anonimizacji lub usunięcia danych po jego realizacji, aby infrastruktura informacyjna nie rozszerzała się samoczynnie „na zapas”. Równolegle konieczne jest rozdzielenie funkcji operacyjnych od analityczno-profilujących, aby dane zbierane do świadczenia usług publicznych nie stawały się surowcem do krzyżowych analiz i predykcji zachowań obywateli. Całość tego systemu musi być wzmocniona realną odpowiedzialnością osobistą decydentów i urzędników za nadużycia w przetwarzaniu danych, obejmującą konsekwencje dyscyplinarne, finansowe, a w skrajnych przypadkach także karne.

Warto jednak zadać sobie pytanie, czy cyfryzacja musi zawsze prowadzić do powiększania wiedzy o obywatelach? Wiadomo: dane to paliwo rozwoju w XXI w., ale czy naprawdę chcemy, by akurat to paliwo było państwowe? Czy świat byłby dużo gorszy, gdyby rządy wiedziały o nas tyle, ile wiedziały 40 lat temu? To pytanie o funkcję władzy. Czy ma ona sprawnie dostarczać obywatelom dóbr publicznych, czy może też ma zmieniać ich zachowania? Jeśli to pierwsze, zakres pozyskiwanych o nich danych powinien być możliwie wąski. Jeśli to drugie, przestrzeń dla arbitralności staje się właściwie nieograniczona. Kto ma decydować o tym, jak zmieniać zachowania ludzi? Naukowcy? Filozofowie? Perspektyw jest wiele. I każdy będzie chciał się wykazać. ©©

Autor jest wiceprezesem
Warsaw Enterprise Institute



KSC: rozpędzona kula śniegowa?

Stanisław Dąbek

Partner w kancelarii BLSK Legal, kierujący praktyką Digital. Specjalizuje się w prawie nowych technologii, telekomunikacji i cyberbezpieczeństwie. W przeszłości Dyrektor Departamentu Telekomunikacji w Ministerstwie Cyfryzacji, odpowiedzialny m.in. za wdrożenie naziemnej telewizji cyfrowej oraz funduszy unijnych. Doradzał przy strategicznych projektach infrastrukturalnych i transakcjach w sektorze technologicznym.

Jesteśmy świadkami rzadkiego w legislacji paradoksu. Jakby na przekór rodzimemu procesowi legislacyjnemu, 20 stycznia br. Komisja Europejska opublikowała propozycję nowego rozporządzenia, tzw. Cybersecurity Act 2.0 (CSA2). Dokument ten, mający na celu harmonizację bezpieczeństwa łańcucha dostaw ICT i certyfikacji na poziomie całej Wspólnoty, stawia pod dużym znakiem zapytania sens wielu rozwiązań, które polski projektodawca wciąż próbuje przeforsować. Nowe propozycje sprawiają, że duża część procedowanej w bólach nowelizacji ustawy o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa (KSC) staje się nie tylko anachroniczna, ale wręcz sprzeczna z nadchodzącym nowym ładem prawnym UE.

Bruksela mówi: „sprawdzam”

Projekt nowelizacji KSC od początku przypominał „rozpędzoną kulę śniegową”. Do technicznej i koniecznej implementacji dyrektywy NIS2 doklejano przez lata polityczne przepisy o dostawach wysokiego ryzyka (HRV – High Risk Vendors). Dziś ta strategia mści się na projektodawcach.

Gdy polski parlament debatuje nad tym, jak dać ministrowi niemal absolutną władzę usuwania sprzętu przez podmioty w 18 sektorach gospodarki, Komisja Europejska (KE) w projekcie CSA2 przedstawiła wizję radykalnie odmienną. Bruksela dostrzegła bowiem to, co eksperci powtarzają od dawna: fragmentacja rynku, w którym router jest „bezpieczny” w Niemczech, ale „zakazany” w Polsce, niszczy ideę jednolitego rynku cyfrowego. Tymczasem CSA 2 zakłada większą precyzję i centralizację bezpieczeństwa łańcucha dostaw.

Aby zrozumieć skalę problemu, należy przyjrzeć się trzem fundamentalnym różnicom między polskim projektem KSC a unijnym CSA2.

Po pierwsze: Procedura, nie „polowanie na czarownice”

Polski projekt KSC w zakresie dostawców wysokiego ryzyka to w istocie rozwiązanie typu „długanowego”. Ocena ryzyka dostawcy jest w nim niebezpiecznie upolityczniona – kluczową decyzję podejmuje jednoosobowo Minister Cyfryzacji, a kryteria są na tyle nieostre, że pozwalają na dużą uznaniowość. Rola Kolegium ds. Cyberbezpieczeństwa sprowadza się do opiniowania, co w praktyce nie stanowi wystarczającego bezpiecznika.

Tymczasem CSA2 proponuje mechanizm wieloetapowy i skoordynowany na poziomie całej Wspólnoty:

1. Krok 1: Skoordynowana ocena ryzyka. Proces zaczyna się od analizy na poziomie całej UE dotyczących kluczowych komponentów elektronicznych w łańcuchach dostaw.
2. Krok 2: Decyzja na szczeblu Komisji. To Komisja Europejska, a nie jednoosobowo minister z danego państwa, identyfikuje kategorie ryzyka i kraje budzące obawy.

3. Krok 3: Akty wykonawcze.

Dopiero na tej podstawie, w drodze aktów wykonawczych, identyfikowani są konkretni dostawcy lub kategorie produktów.

To mechanizm, który zmniejsza ryzyko „polowania na czarownice”, zastępując je ujednoliconą, europejską oceną ryzyka.

CSA2 a KSC, czyli skalpel zamiast młota

Polska nowelizacja KSC rozciąga ryzyko przymusowej wymiany infrastruktury na dziesiątki tysięcy podmiotów. Definicja „podmiotu kluczowe-

go” i „ważnego” w połączeniu z przepisami o HRV oznacza, że teoretycznie każda firma wodociągowa, szpital czy zakład produkcyjny może zostać zmuszona do usunięcia sprzętu, jeśli ten pochodzi od dostawcy uznanego za ryzykownego.

CSA2 podchodzi do tematu chirurgicznie. Regulacje mają dotyczyć wyłącznie „kluczowych aktywów ICT” w ramach krytycznych łańcuchów dostaw. Bruksela mówi wprost: nie każdy przełącznik sieciowy w każdej firmie jest zagrożeniem dla bezpieczeństwa Unii. Ograniczenia mają dotyczyć tylko tego, co faktycznie newralgiczne dla infrastruktury krytycznej o znaczeniu transgranicznym.

Co więcej, CSA2 wprost nakazuje, by wszelkie środki były „odpowiednie i proporcjonalne”. Oznacza to obowiązek przeprowadzenia analizy skutków ekonomicznych oraz dostępności alternatyw na rynku przed wydaniem jakiegokolwiek zakazu. Unijna propozycja skupia się na zmniejszaniu ryzyka, a nie na eliminacji podmiotów z rynku za wszelką cenę.

„Wentyl bezpieczeństwa”, którego Polska nie ma

To największa przepaść między obydwoimi dokumentami, o której w debacie mówi się zdecydowanie za mało. Polski projekt to bilet w jedną stronę – raz nadana łaska dostawcy wysokiego ryzyka jest w praktyce wyrokiem dla firmy. Odium spada na cały sprzęt danego producenta, bez względu na to, czy faktycznie stwarza on zagrożenie, czy nie.

Tymczasem CSA2 wprowadza mechanizm „wniosku o zwolnienie”. To rewolucyjna zmiana w podejściu. Nawet dostawca pochodzący z kraju spoza UE uznanego za ryzykowny ma prawo ubiegać się o dopuszczenie do unijnego rynku, jeśli udowodni, że jego konkretna sytuacja jest inna.

To większa gwarancja rzetelnego procesu i zachowania konkurencyjności rynku, której polski projektodawca nie przewidział. Polska ustawa w obecnym kształcie mówi: „nie ufamy ci, bo pochodzisz z kraju X”. Unijne rozporządzenie mówi: „sprawdźmy, czy twoje zabezpieczenia są wystarczające, mimo że pochodzisz z kraju X”.

Kolizja nieuchronna

Wniosek jest prosty: jeśli CSA2 wejdzie w życie jako rozporządzenie (a więc akt stosowany wprost, bez konieczności implementacji), przepisy o dostawcach wysokiego ryzyka staną się martwe i bezprzedmiotowe w momencie ich uchwalenia, a w wielu miejscach po prostu sprzeczne z prawem nadrzędnym.

Zwłaszcza, że nad nowelizacją wisi „miecz Damoklesa”. Chodzi tu o kwestię notyfikacji technicznej. Wymogi KSC dotyczące sprzętu to klasyczne przepisy techniczne. Zgodnie z orzecnictwem, przepisy takie, jeśli nie zostały zgłoszone i uzasadnione Komisji Europejskiej, są nieegzekwowalne przez sądy krajowe. Otwiera to drogę do masowych pozwów odszkodowawczych przeciwko Skarbowi Państwa ze strony firm zmuszonych do wymiany sprzętu na podstawie wadliwego prawa.

Czas na „rozdzielenie”

Jako praktyk rynku widzę tylko jedno racjonalne wyjście: powrót do podstaw. Należy uchwalić „czystą” nowelizację wdrażającą dyrektywę NIS2 – to pozwoli zatrzymać licznik kar i dać firmom ramy prawne do budowania cyberodporności. Kontrowersyjne przepisy o HRV i łańcuchu dostaw należy wyrzucić z tego projektu i napisać od nowa, już w zgodzie z nadchodzącym rozporządzeniem. Mamy szansę zatrzymać tę kulę śniegową. Wymaga to jednak krytycznego spojrzenia, że świat od momentu napisania pierwszych założeń do ustawy KSC poszedł do przodu, a Bruksela właśnie wytyczyła nową drogę.



Pudrowanie rzeczywistości

Mercosur nie byłby aż tak dużym zagrożeniem, gdyby nie wpisywał się w inne umowy handlowe, które zawiera Unia Europejska – np. z Ukrainą i z USA, a w perspektywie z Indiami. Taka kumulacja otwartych bram nie może być bez przełożenia na polską gospodarkę

Z Anną

Bryłką

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

Gdy polscy europosłowie ponad partyjnymi podziałami wygrywają głosowanie – jak w sprawie umowy z Mercosurem – to idziecie na lampkę wina, żeby poświątować?

Bez szans. (śmiech) Natomiast nie rozumiem, dlaczego ta młódka i wzajemne złośliwości na X muszą być zawsze ważniejsze. Głosowaliśmy dwa wnioski o to, by sprawdzić zgodność umowy z krajami Mercosuru z traktatami europejskimi. Powinno to wstrzymać jej wejście w życie. Jeden z wniosków, autorstwa prawicy, nie przeszedł, drugi, zgłoszony przez centrolewicę, który różnił się w detalach, przeszedł. Najważniejsze, że wygraliśmy, choć o włos – io głosami. Liczy się skutek.

Jaki to skutek?

Próbujemy to ustalić, jakkolwiek dziwnie to brzmi. Według służb prawnych Parlamentu Europejskiego umowa powinna zostać zamrożona do momentu wydania orzeczenia przez Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej, czyli na dobre kilka miesięcy, jeśli nie dłużej. A gdyby TSUE orzekł niezgodność z traktatami, to trzeba by zmienić albo umowę, albo traktaty.

Kancelarz Niemiec kilka minut po głosowaniu napisał, że umowa powinna tymczasowo wejść w życie.

No właśnie. Stan gry jest zatem taki, jak w wielu innych ważnych sprawach – mamy z jednej strony prawo, a z drugiej szukanie furtek i furtetek, żeby je obejść. Zdecyduje Komisja Europejska, która zapewne dostrzeże dziś, jak dużym błędem było podpisywanie umowy z krajami Ameryki Południowej bez zgody Parlamentu Europejskiego. W efekcie mamy kolejny spór woli politycznej z prawem. Natomiast będąc realistą, trudno sobie wyobrazić, by Ameryka Południowa czekała teraz dwa lata na wyrok TSUE. Nie po to z przystępem podpisywano tę umowę w Paragwaju, żeby teraz uznać, że w zasadzie to nie będzie działać.

A ten wniosek do TSUE to tylko wytrych, żeby kupić trochę czasu, czy faktycznie są podstawy do uznania umowy za niezgodną z prawem unijnym?

Przesłanki są poważne. Chodzi o to, że Komisja Europejska przesunęła swoje kompetencje, rozszerzając je niezgodnie z prawem i przyjmując zapisy, które są niezgodne z unijnymi celami: środowiskowymi, klimatycznymi, dotyczącymi deforestacji...

Konfederacja bije na alarm, że cele klimatyczne nie będą realizowane. Dobre.

My też wykorzystujemy każdy możliwy argument (śmiech). Do tej wylizanki trzeba dodać brak lojalnej współpracy między krajami członkowskimi przy przyjęciu tej umowy. Tryb ratyfikacji pozostawia wiele do życzenia. Umowa powinna zostać zaakceptowana przez parlamenty narodowe krajów UE. Nic takiego nie miało miejsca.

Naprawdę mamy się czego bać? Polska ze wszystkich krajów unijnych jest najbardziej zagrożona tą umową. Nasze towary, które trafiają na rynek Europy Zachodniej, nie dadzą rady konkurować z produktami z Ameryki Południowej.

Ale czytam, że ilość tego mięsa nie będzie aż tak duża. Może te lęki są przesadzone?

Musimy wgrzyźć się w szczegóły. To będzie np. 180 tys. ton, jeśli chodzi o drób. A my już teraz importujemy 900 tys. ton, więc trzeba do tych liczb dołożyć kolejne 180 tys. ton, a już czytamy analizy, z których wynika, że może to być ilość specyficznych części, jak piersi z kurczaka. Byłabym w stanie przyznać, że Mercosur nie byłby aż tak dużym zagrożeniem, gdyby nie wpisywał się w inne umowy handlowe, które zawiera Unia Europejska – np. z Ukrainą i z USA, a w perspektywie z Indiami. Taka kumulacja otwartych bram nie może pozostać bez przełożenia na polską gospodarkę. Zwłaszcza że konstrukcja tych umów bywa taka jak ta z Kijowem, który do 2028 r. ma się dostosować do standardów unijnych. Ale dziś? Hulaj dusza, piekła nie ma. A powinno być odwrotnie – chcieć wejść na rynek europejski, to najpierw dostosujcie się do standardów, jeśli chodzi o substancje czynne w środkach ochrony roślin, jeśli chodzi o hormony wzrostu...

Mamy wynegocjowane klauzule ochronne.

Na poziomie dokumentów widać, że propozycja klauzul ochronnych została położona na stół, by uspokoić rolników i sektor rolno-spożywczy w poszczególnych państwach. A jeśli się w nie



FOT. FACEBOOK/MAT. PRASOWE

Anna Bryłka – polityk Konfederacji, posłanka do Parlamentu Europejskiego

wczytamy, to nawet po poprawkach, które przeszły, Komisja Europejska będzie mogła wszcząć dochodzenie, jeśli import wzrośnie o 5 proc. i cena spadnie o 5 proc. Ale względem czego? I jak udowodnić, że na te spadki i wzrosty ma wpływ Mercosur? Wracamy do dobrej woli urzędników KE, bo nie ma tu żadnego automatyzmu. Jeśli uznają, że problem jest, to zareagują. Ale przecież Komisja Europejska nie po to chce otworzyć się na Amerykę Południową, żeby ograniczać skalę tego otwarcia. To zresztą szerszy problem w działaniu Komisji Europejskiej.

Co ma pani na myśli?

Uznaniowość. Polska uczestniczy w pakcie migracyjnym, z którego została zwolniona na pół roku, ale później interpretacja presji związanej z uchodźcami i migrantami na nasz kraj będzie zależeć od urzędników. Bez problemu jestem sobie w stanie wyobrazić, że pieniądze z programu SAFE są zawieszane, jeśli w Polsce będzie prawicowy rząd. Przerabialiśmy to z Krajowym Planem Odbudowy. Takie szantaże mamy w sprawie niemal każdego istotnego rozporządzenia. Z klauzulami dotyczącymi Mercosuru może być podobnie.

Kiedy odczujemy to w polskiej gospodarce?

Rolnicy już teraz mają bardzo niskie ceny skupu, odczuwają liberalizację handlu przez UE oraz wojnę celno-handlową z USA. Potwierdzi to każdy producent kukurydzy. Wysyłaliśmy jej dużo do Zjednoczonego Królestwa, ale Brytyjczycy zobowiązali się, że będą ją brać ze Stanów Zjednoczonych, żeby uniknąć wyższych celi. Polityka. Skutki takich decyzji jak tej w sprawie Mercosuru są rozłożone w czasie, tu nic nie zmienia się z dnia na dzień. Może dlatego trudniej to zauważyć.

Cokolwiek by nie mówić, dość niespodziewanie udało się wygrać w PE małą potyczkę. Ponad codziennymi podziałami.

Wie pan, oczywiście w niektórych sprawach podział w Parlamencie Europejskim idzie po liniach narodowych – jak z Mercosurem – ale w dużej mierze to jest tak naprawdę inne pytanie: czy Europejska Partia Ludowa będzie współpracowała bardziej z lewicowo-liberalną, czy prawicową częścią europarlamentu? Są takie głosowania, gdy KE chce się wymiksować z niektórych zagadnień klimatycznych, a wiedzą, że zieloni, lewica, socjaliści nie zgodzą się na ustępstwa. Przychodzą więc po głasy do prawicy, do Europejskich Konserwatystów i Reformatorów czy Patriotów dla Europy.

Powinna się pani cieszyć, że mainstream nieco zmienia kurs na bardziej prawicowy.

Cieszę się, ale nie mam złudzeń, że w tej kadencji to będzie tylko pudrowanie rzeczywistości. Nie ma co liczyć na więcej. Pamięta pan słynny komunikat, w którym czytaliśmy, że Komisja Europejska wycofuje się z zakazu rejestracji nowych samochodów spalinowych od 2035 r.? Generalnie to prawda, ale jeśli wczytamy się dokładniej w dokumenty, zauważymy, że po prostu redukcja spadła ze 100 proc. do 90 proc. Umówmy się, to żadna zmiana, tym bardziej że nowy cel klimatyczny na rok 2040 został przyjęty.

Nie brzmi pani jak europosłanka na cmentarzysku politycznych snów.

Z pozoru tak to może wyglądać, ale diabeł tkwi w szczegółach i dokumentach. Moja sytuacja jest inna niż koleżanek i kolegów w dużo większych delegacjach. Nasza dwuosobowa delegacja – wraz z Tomaszem Buczkim z Podkarpacia – do grupy Patriotów dla Europy wymusza większą pracę, żeby trzymać rękę na pulsie. Czytamy rozporządzenia, dyrektywy, klauzule, tysiące stron dokumentów, by sprawdzać, jak proponowane pomysły mają się do interesu narodowego. Tak sobie zresztą od początku wymyśliłam swoją obecność w europarlamencie: jako system wczesnego ostrzegania. Żeby nasi wyborcy i szerzej: Polki i Polacy wiedzieli, co się szykuje w unijnych instytucjach. Gdyby nasi posłowie w PE więcej czytali dokumentów w latach 2019–2021, to wiele rzeczy – jak ETS2 czy dyrektywy budynkowe – mogłoby nie wejść w życie. No, ale nie czytali albo czytali i nie zwracali uwagi.

W przyszłym roku wybory do polskiego parlamentu. Wróci pani z Brukseli?

Zobaczmy, jaka będzie sytuacja polityczna. Jeśli będzie decyzja w Konfederacji, że wszystkie ręce na pokład, że przydam się tutaj w kampanii i wyborach, to oczywiście jestem do dyspozycji.

To może być bardzo europejska kampania, z dość prostym wyborem: opowieść o eurokołchozie albo o tym, że nie możemy

WYWIAD

się obrażać na Zachód i Unię, nawet jeśli nie wszystko nam się tu podoba.

Stoimy na stanowisku, że Polki i Polacy w 2004 r. podjęli decyzję, żeby wejść do UE, i nie widać na horyzoncie zmiany tego stanowiska.

A pani chciałaby wyjść z UE? Mam bardzo krytyczny stosunek do UE, uważam, że można ułożyć tę współpracę z krajami europejskimi na innych zasadach niż teraz. Musimy rozpatrywać różne nieoczekiwane scenariusze, nie sprowadzając ich tylko do prostego pytania o polexit. W dzisiejszym świecie i intensywnie zmieniającej się rzeczywistości to duża naiwność sądzić, że UE będzie trwała wiecznie. Musimy być gotowi na wszystko.

Zgrabny unik na proste pytanie. Powtórzę: na ten moment Polki i Polacy chcą zostać w Unii, nie ma w ogóle tego tematu. Musimy zatem walczyć o każdy centymetr dla siebie, tak jak każdy inny naród szarpie o swoje. Część szkodliwych dla państwa polskiego polityk trzeba odrzucić. Ale największym strachem dla dzisiejszej układanki unijnej jest rok 2027. Zwłaszcza jeśli chodzi o wybory we Francji. To druga największa gospodarka w UE i tandem niemiecko-francuski, który i tak

zgrzyta. Gdyby wybory wygrał Jordan Bardella, po prostu przestałby jechać na dotychczasowych warunkach. Byłby to koniec Unii Europejskiej, jaką znamy. Bo cokolwiek by powiedzieć, Giorgia Meloni stara się dziś szukać wspólnych mianowników z mainstreamem. Ale gdyby konserwatywne, prawicowe rządy były nie tylko we Włoszech, lecz także we Francji i w Polsce? Najważniejsze, żeby Warszawa była przy stole, gdy przyjdzie moment na nową układankę.

Jak w tym wszystkim reagować na Donalda Trumpa i jego chaotyczne, niekonwencjonalne pomysły?

Na pewno powinniśmy robić wszystko, by deeskalować napięcia między Europą a USA. Jesteśmy nieco z boku tego wszystkiego; nie możemy demonizować Trumpa, ale musimy też pamiętać, że nie zawsze nasze interesy są zbieżne z interesami Stanów Zjednoczonych. Amerykańska administracja próbuje tworzyć jakiś rodzaj nowego porządku. Nie możemy się na to obrażać albo uznać, że zaczekamy, aż za trzy lata wszystko wróci na stare tory. Rzeczywistość, w której kolejny republikanin zagości w Białym Domu, nie jest wykluczona. Musimy myśleć do przodu i rozważać wiele scenariuszy, żeby wydarzenia nas nie zaskakiwały tak mocno jak dziś. ©P



Śmietnik w sprawiedliwości

Jan Wróbel

Sąd rejonowy uznał orzeczenie o rozwodzie za niebyłe, bo zdecydował o nim sędzia z grupy „neo”... Wymiar sprawiedliwości powinien kojarzyć się ze słowem „ład”, a kojarzy z określeniem „śmietnik”.

Profesor Tadeusz Łepkowski przekonywał swego czasu, że XIX-wieczny kapitalizm, zwłaszcza na ziemiach polskich rosyjskiego zaboru, miał charakter wyspowy. Najprościej mówiąc, chodziło o rzeczywistość, w której bodźcem do podjęcia inwestycji była nadzieja na eksport. Niby kołem zamachowym produkcji jest popyt krajowy, wynikający ze wzrostu zamożności i aspiracji dużej części ludności – tzw. rynek wewnętrzny. Jednak u nas tym bodźcem stał się rozwój rynku rosyjskiego. I mamy kapitalizm wyspowy – wybrane gałęzie przemysłu rozwijały się dynamicznie, a mianowicie te, które w ogromnym imperium znalazły nabywców. O wiele wolniej zaś maszerowali ci, którzy byli nastawieni na nabywców krajowych. Rynek wewnętrzny, którego uczestnicy nie kupują ton materiałów bawełnianych, lecz kilkanaście koszul do sprzedania w rodzinnym sklepiu, będzie przez ten kapitalizm zaniedbywany.

Wszystko wskazuje na to, że kapitalizm polski ponownie narodzony w 1990 r. był narażony na to samo zjawisko. Ale nie stało się tak. Oczywiście eksport, zwłaszcza do Niemiec, rozpędził niejedno polskie przedsiębiorstwo i trzeba mieć dużo zapału, by negować wagę połączeń handlowych Polski z resztą Europy. Ale rynek wewnętrzny także się rozwinął, polski konsument jest ceniony. Ciężką pracą zbudowaliśmy kraj w tym sensie europejski, że stojący na obu filarach rozwoju: zewnętrznym i wewnętrznym.

I tylko przychodzi załamywać ręce, że w dziedzinie wymiaru sprawiedliwości odtworzyliśmy model wyspowy. To tu, to tam sąd czy prokuratura dają przykład profesjonalizmu i bezstronności. I zaraz potem zjawiają się służby w Krajowej Radzie Sądownictwa, premier Tusk ogłasza, kto jest winny, a kto nie, minister sprawiedliwości zgadza się na ręczne sterowanie składami sędziowskimi, a sędziowie nawzajem unieważniają swoje wyroki z przyczyn środowiskowych walk podjazdowych. Politycy polscy pogodzili się z tym, z czym nigdy nie powinni – ze śmietnikiem w sprawiedliwości.

©P



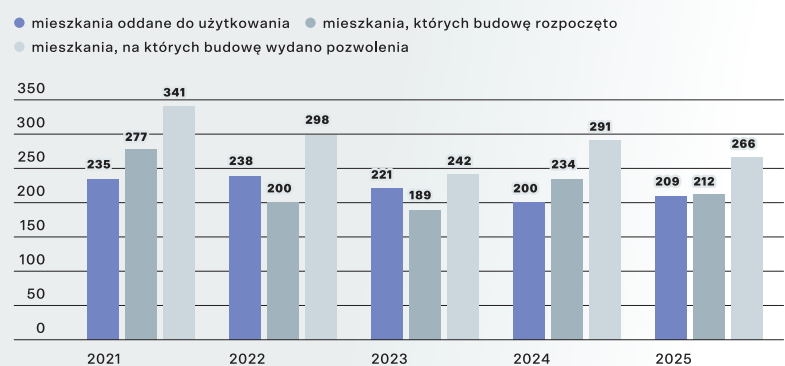
Łukasz

Wilkowicz

Mieszkań więcej, ale coraz mniejszych

Miniony rok był siódmym z rzędu, gdy liczba mieszkań oddanych do użytkowania utrzymywała się powyżej 200 tys. Liczba lokali oddanych do użytku była o 4 proc. wyższa niż rok wcześniej. Wyniosła niemal 209 tys. „Powierzchnia użytkowa nowo wybudowanych mieszkań wyniosła 18,2 mln mkw., czyli o 1,8 proc. więcej niż przed rokiem. Przeciętna wielkość dla jednego mieszkania osiągnęła poziom 87,0 mkw.” – podaje GUS. Jak wyglądają perspektywy rynku mieszkaniowego? Liczba lokali w budynkach, na których budowę wydano zezwolenia, była o ponad jedną czwartą mniejsza niż rok wcześniej. Była też najmniejsza od 2016 r. Liczba mieszkań, których budowę rozpoczęto, w porównaniu z 2024 r. zwiększyła się natomiast o niemal 14 proc., do niemal 266 tys. ©P

Rynek mieszkaniowy
(tys. lokali)



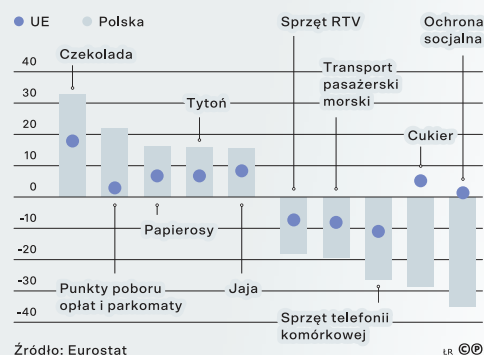
Źródło: GUS

LR ©P

Ranking drożenia

Średnioroczna inflacja w Polsce wyniosła w 2025 r. 3,3 proc. – to wycenienia Eurostatu w ramach badań zharmonizowanego wskaźnika cen konsumpcyjnych. Tak liczona inflacja w UE osiągnęła 2,6 proc. Dane unijnego biura statystycznego po-

Największe wzrosty i spadki cen konsumpcyjnych
(2025 r., proc., zmiana dotyczy średnich cen w roku, lista na podstawie zmian cen w Polsce)



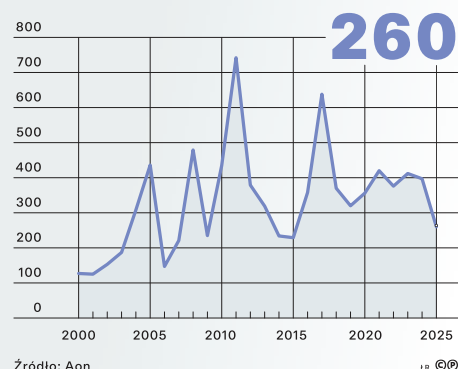
Źródło: Eurostat

LR ©P

Trochę mniej klęsk żywiołowych

Globalne straty ekonomiczne spowodowane klęskami żywiołowymi w 2025 r. sięgnęły 260 mld dol. – wynika z raportu firmy Aon. Biorąc pod uwagę zmieniający się poziom cen, te straty były najmniejsze od 10 lat. Jeden z powodów:

Koszty katastrof naturalnych na świecie
(mld dol. z 2025 r.)



Źródło: Aon

LR ©P

kazują też, jak zachowywały się ceny kilkuset szczegółowych kategorii towarów i usług. O więcej niż 10 proc. wzrosły u nas ceny w ponad 20 kategoriach. Najbardziej w przypadku czekolady (ponad 30 proc.) oraz w parkomatach (ponad 20 proc.). Czekolada drożała za sprawą rosnących do niedawna cen kakao. Trend dotyczył nie tylko Polski, ale u nas wzrosty cen czekolady były prawie dwa razy większe niż w UE. ©P

sezon huraganów okazał się mniej dotkliwy niż w poprzednich latach. Katastrof naturalnych, w których jednostkowa wartość szkód przekraczała 1 mld dol., było 49 – nieco więcej niż wynosiła średnia z ostatniego ćwierćwiecza. Szkody ubezpieczone miały wartość 127 mld dol. To wynik o ponad jedną czwartą przewyższający średnią od początku wieku. Największe szkody – 58 mld dol. – wyrządziły pożary w Kalifornii. ©P

Czynić dobro z dobrym skutkiem

Filantropem może zostać każdy. Ale nie każdy wie, jak pomagać i komu, i potrafi wydać duże pieniądze

Konrad

Wojciechowski

Pewna firma szczyli się pomaganiem. Organizuje konkursy dla startupowców i zaprasza inwestorów. Nie zapomina o dzieciach – w Dzień Ziemi pracownicy jeżdżą po podstawówkach i pomagają uczniom w sprzątaniu terenu wokół szkół. Na wsparcie mogą liczyć również najgorzej sytuowani. W jednej z warszawskich dzielnic trzeba było odnowić mieszkanie. Ludzie z firmy chwycili za pędzle oraz młotki i wyremontowali lokal emerytce.

Wyglądało to na niesienie pomocy tam, gdzie jest najbardziej potrzebna. Jednak po każdej tego typu akcji firma zwoływała konferencje albo zapraszała media na te wydarzenia, żeby śledziły, jak przebiega maraton dobroduszości. Można odnieść wrażenie, że sednem jest budowanie wizerunku, pomoc jedynie pretekstem. Jak to się ma do filantropii?

Wielokierunkowo i długofalowo

Filantropia to bezinteresowne wsparcie potrzebujących. A wszelkie zbiórki charytatywne na szczytne cele są raczej efektem impulsu niż głębokiej refleksji i łagodzą skutki problemów społecznych, ale w sposób doraźny, nie systemowy. Takie wnioski płyną z raportu „Filantropia w Polsce. Jak angażują się przedsiębiorcy i ich rodziny” (2022 r.), który powstał na zlecenie Polskiej Rady Biznesu (PRB) i Edukacyjnej Fundacji im. Romana Czerneckiego (EFC). Autorzy opracowania piszą, by uznać filantropię za „cierpliwą inwestycję”, która wymaga planowania. Wiedzą o tym praktycy biznesowi. Choć prowadzą działalności w różnych obszarach, tu są zgodni – filantropia w Polsce jest zjawiskiem dopiero rozpoznawanym.

– Wcześniejsze działania nazwałabym mecenatami. Do filantropii potrzebne są pieniądze. I motywacja, co chcemy zrobić. Filantropia jest próbą strategicznej odpowiedzi na zmianę, która zachodzi w społeczeństwie. Re-

akcją na trendy, które następują w sferze gospodarczej, ekonomicznej, politycznej – wylicza Malwina Pawłowska, mentorka, dyrektorka zarządzająca Fundacją Roberta Dobrzyckiego. Ta fundacja działa właśnie wielokierunkowo. Inwestuje w naukę, kulturę, zdrowie czy sport. Sukcesami chwali się na FB; to m.in. sponsorowanie młodej sztuki, np. ufundowanie pracy Karoliny Jabłońskiej, której obrazy wystawiono w Muzeum Sztuki Współczesnej. Ale też współpraca z Akademią BVB im. Łukasza Piszczka, dzięki czemu zorganizowano dla dzieci z dotkniętego powodzią Kłodzka zajęcia piłkarskie.

Sztukę niezależną wzięła pod opiekę Krupa Art Foundation, fundacja założona przez małżeństwo Sylwii i Piotra Krupów, którzy – poza biznesem – zajmują się kolekcjonowaniem i promocją obrazów, głównie autorstwa początkujących twórców. W tym celu powstał program Art Partner. Krupowie wyprawiają młode malarstwo z pracowni do przestrzeni biurowych, aby ośwoić biznes ze sztuką. – Próbowujemy pokazać, że sztuka jest ważna, ponieważ obrazuje zmiany społeczne, które mogą nadejść – tłumaczy Katarzyna Młynczak-Sachs, prezeska Krupa Art Foundation.

O strategii na lata mówią twórcy fundacji Campus Bemke, którzy inwestują w edukację dzieci oraz młodzieży. Z podobnym nastawieniem – chociaż w innej dziedzinie – działa fundacja Play Sustain. Sprzyja ekologii życia. – Narzędziem jest edukacja, a produktem – sztuka użyteczna, czyli ubranie. Strój to forma wyrażenia sztuki i bardzo się cieszę, że wspieramy polskich projektantów mody, którzy pracują w duchu upcylingu (tworzenie produktów o wyższej jakości z istniejących surowców – red.). Jestem zwolenniczką budowania systemowych, strategicznych i trwałych rozwiązań – deklaruje Agnieszka Servaas, prezeska fundacji. A co do definicji, przypomina, że słowo „filantropia” pochodzi z greckiego i oznacza „miłość do ludzi”.

Pomoc ma twarz kobiety

Doktor Anna Tryfon-Bojarska, ekspertka Akademii Leona Koźmińskiego,

go, przygląda się dobrym praktykom na styku kultury i biznesu. Dostrzega znaczący postęp w tym obszarze. – Polska filantropia jest na wznoszącej. I bardzo się zmieniła w ciągu ostatnich 10 lat. Przed dekadą działało około 100 filantropijnych fundacji korporacyjnych, a teraz funkcjonuje ok. 250 – szacuje. Na czele polskich fundacji w ok. 40 proc. przypadków stoją kobiety. Filantropia coraz odważniej wchodzi w segment MŚP, co skutkuje przyrostem fundacji rodzinnych. I jest obserwowana głównie w mikroskali. – Projekty ogólnopolskie to 15-18 proc. ogółu. Reszta, znakomita większość, koncentruje się na lokalnych potrzebach – mówi ekspertka Akademii Leona Koźmińskiego.

Polscy filantropi – wracamy do raportu PRB i EFC – pomagają z poczucia obowiązku, bo skoro się dorobili (głównie podczas transformacji), to czują obowiązek redystrybucji części dóbr do tych, którzy nie zaznali materialnego splendoru. Wspieranie motywowane jest też szukaniem pomysłu na życie, satysfakcją i spełnieniem lub wynika z przekonania. Główne obszary pomagania to edukacja, kultura oraz zdrowie, choć finansowanie wystaw, zakup dzieł sztuki, produkcji przedstawień teatralnych jest zwykle domeną filantropów z dużym stażem, a nie młodszych roczników.

Istnieje wiele sposobów prowadzenia działalności pomocowej. W Ameryce na znaczeniu zyskują fundusze filantropijne, które inwestują kapitał, a od darowizn odliczają ulgi podatkowe. Powstają też spółki – jak Chan Zuckerberg Initiative, założona przez twórcę Facebooka i jego żonę – które prowadzą działalność lobbingsową, przekazują środki na cele komercyjne i nie są skrupulatnie kontrolowane. Rośnie też sektor przedsiębiorstw społecznych – spółdzielni, towarzystw ubezpieczeń wzajemnych czy korporacji. Nadal to jednak fundacje są najpopularniejszym modelem aktywności filantropijnej, także w Polsce. I mimo wspomnianego wysypu fundacji rodzinnych, to głównie korporacje biorą na siebie ciężar pomagania, wykorzystując w tym celu środki z darowizn, zbiorów publicznych, przekazów podatkowych czy własnych budżetów i zysków operacyjnych.

Trzy filary Kulczyków i Staraków

Pomaganiem zajmuje się Kulczyk Foundation, założona przez Dominikę Kulczyk, która odziedziczyła majątek po ojcu. Jej fundacja finansuje trzy społeczne obszary. Pierwszy dotyczy zdrowia – bizneswoman chce produkować bezpieczne i ekologiczne podpaski z odpadów rolniczych (z włókna nepalskiego bananowca), aby przeciwdziałać ubóstwu menstruacyjnemu w Polsce. Drugi – fundacja opracowała w październiku 2025 r. Białą Księgę Menopauzy, czyli zbiór eksperckich rekomendacji i rozwiązań. Księga trafiła do Ministerstwa Zdrowia, już przepro-

wadzono pilotaż kursu dokształcającego dla położnych. Trzeci program – „Żółty Talerz” – ma przeciwdziałać niedożywieniu dzieci – rok temu odbyła się 10. edycja.

W trzech obszarach udziela się także Fundacja Rodziny Staraków. Stawia na naukę, wiedzę i kulturę. W ramach Spectra Art Space udostępnia publiczności sztukę klasyków II połowy XX w. Równolegle, przez Naukową Fundację Polpharmy, Starakowie pomagają w rozwoju młodym naukowcom, wspierają edukację lekarzy i farmaceutów oraz innowacyjne badania medyczne. Celem filantropii jest wyrównywanie szans oraz budowa kompetencji. Przykładem programu stypendialnego „Horyzonty”. – Dzięki niemu zdolna młodzież z mniejszych miejscowości i rodzin o trudniejszej sytuacji finansowej może uczyć się w najlepszych liceach. To nie jest jednorazowe wsparcie, to kilkuletni proces obejmujący edukację, mentoring i opiekę rozwojową młodych ludzi – zapewnia Grzegorz Kotowski, pełniący obowiązki prezesa Fundacji Rodziny Staraków.

Kulczykowie dużo inwestują w projekty długofalowe, co nie wyklucza doraźnej pomocy. – Zdarzają się sytuacje wymagające błyskawicznej reakcji. Po nastaniu pandemii sprowadziliśmy samolot pełen potrzebnego sprzętu. Po wybuchu wojny powołaliśmy Siostrzeństwa Polsko-Ukraińskie, tworząc fundusz wsparcia dla kobiet i dzieci z Ukrainy. Fundacja reagowała także na powódź w 2024 r. Z dnia na dzień zorganizowaliśmy wsparcie dla zaprzyjaźnionej świetlicy środowiskowej – wylicza Barbara Paczkowska-Lewanowska z departamentu komunikacji Kulczyk Foundation.

Pytam o konkretne kwoty, jakie do tej pory przekazała fundacja potrzebującym. W odpowiedzi sumy nie padają, słyszę natomiast, że „na sam program «Żółty Talerz» Dominika Kulczyk przekazała wielomilionowe wsparcie”. Ale on wymaga stałej, systemowej pomocy. Fundacja dwoi się i troi, aby coś trwale zmienić za sprawą wydawanych funduszy – w 2023 r. przygotowała projekt ustawy dotyczący darmowego dostępu do środków menstruacyjnych, a rok później otrzymała środki od Ministerstwa Edukacji Narodowej (w trybie konkursu grantowego) na realizację pierwszego pilotażowego programu, w tym edukacji na temat miesiączki w szkołach (Okresowe ABC).

Czy biznesowa filantropia powinna wyręczać państwo w zaprowadzaniu zmian? Czy ma nieść pomoc tam, gdzie władza jest niedostatecznie sprawna? Problemu niedożywienia dzieci nie da się rozwiązać oddolnie. W przypadku ubóstwa menstruacyjnego działania organizacji pozarządowych i biznesu są niewystarczające. Według fundacyjnych statystyk co piąta dziewczynka w Polsce opuściła zajęcia szkolne tylko dlatego, że nie miała dostępu do środków higienicznych. Tutaj państwo musi się wykazać.

Zamożni dobroczyńcy są gotowi przynosić dobre pomysły w postaci eksperckiej wiedzy i narzędzi. – Pomaganie innym to świadome uzupełnianie

FILANTROPIA

braków tam, gdzie system uległ rozszczelnieniu – tak to ujmuję Jerzy Starak, fundator Fundacji Rodziny Staraków.

Czempioni z kasą i ze strategią

Z raportu „Fundacje korporacyjne w Polsce” (2023 r.) autorstwa Forum Darczyńców i Stowarzyszenia Klon/Jawor wynika, że 21 proc. fundacji korporacyjnych osiąga przychody na poziomie powyżej 10 mln zł i takie budżety jest w stanie przeznaczać rokrocznie na pomoc.

– Wśród czempionów jest m.in. Fundacja BNP Paribas, która wyrównuje szanse edukacyjne dzieci i młodzieży oraz wspiera uchodźców. Robi to w partnerstwie z innymi organizacjami, m.in. Fundacją Centrum Edukacji Obywatelskiej oraz Fundacją Ocalenie. Swoją niszę znalazła Fundacja Biedronki – ta organizacja działa na rzecz poprawy jakości życia seniorów i przekazuje im karty żywnościowe oraz dofinansowuje spotkania, np. w kołach gospodyń wiejskich. Duże brawa należą się Fundacji Orange za wspieranie polskich szkół w edukacji cyfrowej i za determinację w działaniu na rzecz bezpieczeństwa młodych osób w internecie. Najlepsze fundacje korporacyjne prowadzą badania, diagnozują problem, posiadają strategię, która podlega ewaluacji, no i mają duże budżety – wylicza Julia Kluczyńska, ekspertka ds. rzecznictwa i działalności edukacyjnej w Forum Darczyńców.

Fundacja Biedronki do końca 2024 r. przeznaczyła na pomoc 240 mln zł. Nie wszystkie firmy, które chwala się filantropią, są tak samo hojne. – Pewna spółka, która osiąga roczny przychód na poziomie 800 mln zł, zapytana, ile przeznacza na pomoc, odparła, że przekazuje fundacji 2 mln zł. To nie jest filantropia. To kpina – komentuje jeden z moich rozmówców.

Badania Forum Darczyńców i Stowarzyszenia Klon/Jawor uświadamiają, że nie każdy jest w stanie pomagać, nawet jeśli deklaruje chęć. Co dziesiąta fundacja korporacyjna dysponuje kapitałem nieprzekraczającym 50 tys. zł. – W przypadku takich organizacji lepiej poszukać partnerstwa strategicznego i przekazać środki organizacji społecznej, która ma już doświadczenie – radzi Kluczyńska.

Co robi państwo

Polska filantropia jest dopiero w fazie rozwoju. Przyznają to m.in. autorzy książki „Wszyscy jesteśmy po tej samej stronie” (2024) – Małgorzata Mazur-Łukasik i Paweł Łukasik, którzy na potrzeby tej pracy przeprowadzili kilkanaście rozmów o współczesnej dobroczynności. – Dopiero zauważamy wartość w różnorodności filantropii. Bo nie można jej nie dostrzegać: jest filantropia rodzinna, lokalna, progresywna, strategiczna, oparta na kapitałach żelaznych czy funduszach wieczystych. Jest wreszcie venture philanthropy, która stanowi inwestycję w projekty spo-

łeczne, zakładając częściowy lub nawet całościowy zwrot kapitału, co pozwala na ponowne sfinansowanie kolejnych inwestycji społecznych – tłumaczy Paweł Łukasik.

Czy filantropia w Polsce się upowszechni? Choćby na czeską modłę? Eksperci stawiają nam za wzór do naśladowania południowych sąsiadów. Magdalena Pękacka z Forum Darczyńców mówiła w rozmowie z portalem NGO.pl w październiku 2024 r. o kwitnącej filantropii nad Wełtawą. Wiele osób zakłada tam rodzinne fundacje z kapitałem żelaznym, dzięki czemu wypracowane zyski służą tylko do finansowania celów statutowych.

Dlaczego w Polsce to nie funkcjonuje na taką skalę? Twórcy raportu „Filantropia w Polsce. Jak angażują się przedsiębiorcy i ich rodziny” wskazują kilka powodów: filantropia jest postrzegana jako pozorna hojność biznesu, który robi to dla potrzeb wizerunkowych. Inna sprawa to brak wystarczającej wiedzy (wśród młodych przedsiębiorców) i przestrzeni do rozmowy (to dotyczy wszystkich) o dobroczynności, a jeśli wokół tematu nie można skupić większej społeczności, trudniej dopinować się do pomagania. A gdy jeszcze dochodzi brak czasu, filantropia staje się doraźnym działaniem, zamiast zaplanowaną inicjatywą. Autorzy mówią jeszcze o nieufności państwa do filantropów, którzy uchodzą za osoby naginające prawo. Darczyńcy z kolei nie dostrzegają zachęt podatkowych. I koło się zamyka.

Jak więc spowodować, by filantropia stała się strategią, a nie wydawaniem pieniędzy dla poklasku? Jaką rolę w tej strategii miałyby odgrywać państwo? – Po pierwsze, działania filantropijne muszą być związane z wartościami firmy lub osoby, która angażuje się w projekty na rzecz innych. Po drugie, partnerska współpraca z beneficjentami, przejrzystość działań, publiczne raportowanie wspieranych celów i podmiotów, a także orientacja na rezultat czy zmianę społeczną. Państwo powinno wspierać rozwój różnych form filantropii, w tym np. poprzez ulgi, odpisy podatkowe, testamenty czy np. wprowadzenie alokacji 1,5 proc. nie tylko od PIT, lecz także od CIT – uważa Łukasik.

W tej chwili zbiera się grupa robocza odpowiedzialna za powstanie Krajowej Strategii Filantropii. Jej skład zasilą eksperci zaproszeni przez Narodowy Instytut Wolności oraz Forum Darczyńców, aby przygotować analizę potrzeb darczyńców z różnych grup społecznych oraz podpowiedzieć rozwiązania legislacyjne, w tym zachęty podatkowe i ułatwienia systemowe. – Widać odejście od społecznej odpowiedzialności biznesu (CSR), która w wielu przypadkach obejmowała, niestety, przypadkowe i nieprzemysłane działania filantropijne, często obliczone na korzyści wizerunkowe. Teraz stawia się na konkretne i mierzalne działania społeczne związane z raportowaniem ESG (Środowisko, Społeczna Odpowiedzialność, Ład Korporacyjny). Za tym wszystkim stoją jednak przede wszystkim wartości. Filantropia nie jest umową transakcyjną. Jest zobowiązaniem – konkluduje Kluczyńska. ©©

Historia

Na ratunek kulturze

Mogłoby się wydawać, że w obliczu wojennych koszmarów nikt nie będzie dbał o książki czy obrazy, a jednak tuż po upadku Powstania Warszawskiego grupa kilkuset osób zdecydowała się zaryzykować życie, żeby ocalić dorobek kilku wieków polskiej kultury

Sebastian

Pawlina

Idąc wzdłuż torów z Pruszkowa do Warszawy, dr Bohdan Korzeniewski dostrzegł na horyzoncie sunące po zaśnieżonym krajobrazie sowieckie czołgi. Nie minęło wiele czasu, a minął grupę kilku maszyn. Ich załogi, brudne i zmęczone, jadły, piły, paliły i zasypiały na śniegu. Inaczej wyglądało to w Warszawie, czy raczej w tym, co dawniej nią było. Wtedy, w połowie stycznia 1945 r., przypominała ściśnięte mrozem morze gruzów, z wyspami budynków nadających się do zamieszkania. Pomiędzy nimi „brodaci i leciwi woźnice w połatanych kożuchach popędzali leniwym machaniem batów kosmate koniki oszroniałe od mrozu. Zaprzęgi również nie miały wyglądu wojskowego. Były skrzypiącymi wozami wiejskimi (...), w jakie od wieków zakłada się mądrą starą kobyłę, dodając jej na przyprządkę po obu stronach młodsze konie” – wspominał Korzeniewski, któremu sceny te kojarzyły się z wędrownymi plemion koczowniczych. Część z tych wojennych wędrowców zostawała w Warszawie tylko kilka dni. Dowodem ich obecności były unoszące się w różnych punktach słupy dymów z ognisk rozpalałych przez czerwonoarmistów dla ogrzania się.

Niektórzy zatrzymali się w budynkach Uniwersytetu Warszawskiego przy Krakowskim Przedmieściu,

w których schronienie znalazł również Korzeniewski. Regularnie przychodził tu jeszcze „za Niemca”. Razem z paroma innymi badaczami polskiej historii i kultury (on sam był historykiem teatru) ratowali zgromadzone w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego książki. Teraz, gdy zniechęcony okupant uciekł, należało dopilnować, żeby z tym, czego nie zdążyli ukryć, nie stało się nic złego. Na wojnie nietrudno przecieć o tragedię.

Wielokrotnie wzywał go stary woźny, który pilnował, żeby Sowietnicy niczego nie zniszczyli. Gdy nie dawał rady sam, prosił o pomoc Korzeniewskiego, który wyganiał czerwonoarmistów z Auditorium Maximum, gdzie znajdował się niemiecki arsenał, w tym pociski, miny, granaty, laski trotylu, albo z BUW-u, gdzie żołnierze kręcili się w poszukiwaniu papieru do skreczenia papierosów albo czegoś cennego do zabrania. Podczas wędrowek przyświecali sobie kagankami zrobionymi z kilku kartek wyrwanych z przypadkowo wyciągniętego z półki tomu. Nad wszystkim unosiło się jedno zdanie woźnego: „Książek teraz byłoby szkoda, kiedy tamte piekielniki nie zdążyły ich spalić”.

Awantura o kulturę

Walkę o zabytki polskiej kultury rozpoczęto już latem 1939 r. Ostatnie tygodnie przed wybuchem wojny w licznych instytucjach – muzeach, bibliotekach, archiwach itp. – spędzono na opracowywaniu sposobów ▷

zabezpieczenia najcenniejszych zbiorów. Kilka dni przed 1 września w Muzeum Narodowym w Warszawie zbijały bomby spadły na miasta i wypełnione ludźmi drogi, w podlubelskiej wsi ukryto „Bitwę pod Grunwaldem” Jana Matejki, a w Sandomierzu ołtarz Wita Stwosza, który rok później Niemcy odnaleźli i wywieźli do Norymbergi. Do Polski wrócił w maju 1946 r.

Nie było jednak możliwości, aby zadbać o wszystkie cenne eksponaty czy druki. Wiele z nich padło łupem Niemców, którzy po zajęciu Polski wpuścili do sal wystawowych i magazynów historyków sztuki, muzealników, archiwistów oraz bibliotekarzy. Ci, dysponując przygotowanymi wcześniej wykazami, wybierali istotne dla nich przedmioty i wysyłały do Niemiec, gdzie często trafiały w prywatne ręce nazistowskich dygnitarzy. Dbano o pozory legalności, wystawiając pokwitowania. Na przykład na dotyczące stosunków polsko-krzyżackich dokumenty od XIII do XV w., które pod koniec 2025 r. wróciły do Polski i trafiły do Archiwum Głównego Akt Dawnych.

Zdarzało się, że Niemcy zarządzający polskimi instytucjami, a nawet władze Generalnego Gubernatorstwa, domagały się od swoich rodaków zwrotu zagrabionych zbiorów. Niekiedy brało się to z profesjonalizmu, np. kierujący Głównym Zarządem Bibliotek w GG Gustav Abb, doświadczony bibliotekarz, nie zgadzał się na rozdzielanie zasobów podległych mu placówek. Inni czuli się urażeni, że wymykają się im z rąk cenne – głównie w rozumieniu finansowym – okazy. Oczywiście nie było w tym dbałości o polską kulturę – wszak wszystko, co cenne w niej, według oficjalnej wykładni i tak miało korzenie germańskie.

W odpowiedzi na zagrożenie władze Polskiego Państwa Podziemnego w Delegaturze Rządu RP na Kraj stworzyły wydział odpowiedzialny za kulturę. Jego pracownicy zajmowali się m.in. ratowaniem zagrożonych zbiorów i tworzeniem spisów tych skradzionych. Po wojnie miało to umożliwić upomnienie się o nie.

Wędrówki Orzeszkowej

Jednak nie wszystkie kolekcje i przedmioty istotne dla polskiego dziedzictwa znajdowały się w rękach instytucji dysponujących kadrami zdolnymi do kontrolowania tego, co i gdzie jest zabierane. Tak było z archiwum Elizy Orzeszkowej. Przed wojną pieczę nad nim sprawowało czteroosobowe Towarzystwo im. Orzeszkowej. W czasie okupacji zmarło albo zostało zamordowanych troje jego członków. Jedynym, który przeżył, był prof. Julian Krzyżanowski, wybitny historyk literatury.

Fizycznie kolekcja była w rękach żony jednego z opiekunów. Mężczyzna trafił do Auschwitz. Do jego małżonki odezwali się ludzie, którzy obiecali, że pomogą jej ukochanemu, o ile ta da im na to pieniądze. Było to praw-

dopodobnie oszustwo. W czasie okupacji funkcjonowały całe szajki bogacące się na tworzeniu rodzinom aresztowanych iluzji ratunku dla ich bliskich. Gdy Krzyżanowski dowiedział się, że zbierając środki na uratowanie męża, kobieta sprzedała jego bibliotekę, przestraszył się, że podobny los może spotkać spuściznę po autorce „Chama”. O pomoc poprosił swojego wychowanka, Tadeusza Wiwatowskiego, który korzystając z pomocy kolegów z konspiracji, odebrał archiwum i przewiózł je do mieszkania profesora. Stamtąd trafiło do Biblioteki Ordynacji Zamojskich w Pałacu Błękitnym przy placu Bankowym.

Ratowanie zabytków kultury wiązało się z niemałym ryzykiem. Do-

świadczył tego Zygmunt Miechowski, historyk sztuki, współpracownik prof. Stanisława Lorentza, wieloletniego dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie, a także inicjatora odbudowy Zamku Królewskiego. Wspominając młodszego kolegę, pisał on, że „stała tajną funkcją, którą w czasie okupacji pełnił w Muzeum Narodowym (...), było odrysowywanie i opisywanie zabytków, wywożonych przez hitlerowców. Jego niezwykle staranne rysunki i opisy inwentaryzacyjne w części zachowały się i są jedynymi śladami po dziełach sztuki i zabytkach przeszłości, których nie udało się odnaleźć”. W trakcie fotografowania tego, jak Niemcy niszc-

czą i plądrują Zamek Królewski, Miechowski został aresztowany. Przed wywózką do obozu uratowała go interwencja władz miejskich oraz Lorentza.

Puste obietnice

Sens tych prac i tego ryzyka podważyła zagłada, która spadła na Warszawę 1 sierpnia 1944 r. Po wydaniu przez Adolfa Hitlera rozkazu zrównania miasta z ziemią jego oddziały przystąpiły nie tylko do mordowania mieszkańców, lecz także do palenia i burzenia domów, kościołów, pałaców. Niektórzy, jak Miechowski, nawet wtedy pró-

Kilka miesięcy starań pozwoliło jednak ocalić wiele bezcennych kolekcji. Ratunkiem dla zabytków była już sama obecność Polaków w kilku wybranych budynkach. Kiedy zjawiali się podpalacze, przepustki z podpisem Geibla skutecznie ich odstraszały





Uratowane dokumenty krzyżackie powróciły do Archiwum Akt Dawnych w Warszawie w 2025 r.

zniszczeniem. Całość wróciła na swoje miejsce najpóźniej w 1946 r.

Lorentz przemawia

Gdy tylko miasto opustoszało, Niemcy rozpoczęli jego planowe niszczenie. I byli w tym przerażająco profesjonalni. Specjalne oddziały, tzw. Brandkomanda, kwartał po kwartale wyburzały budynki i podpalały je. To właśnie wtedy, między październikiem 1944 r. a styczniem 1945 r., stolica Polski poniosła największe straty, sięgające 30 proc. zabudowy. Wiadomości o tych działaniach dotarły do przebywających w większości w podwarszawskich miejscowościach pracowników bibliotek, muzeów, archiwów. „W coraz to większym napięciu dyskutowano o tym, jakie kroki należy przedsięwziąć” – pisał Lorentz.

W połowie października spotkał się w Pruszkowie z niewielką grupą współpracowników. Ustalili, że nie mogą czekać. Dzięki sieci kontaktów dotarli do urzędujących w Krakowie władz GG, które poleciły Ludwigowi Fischerowi, gubernatorowi dystryktu warszawskiego, a także Paulowi Otto Geibelowi, dowódcy SS i policji na dystrykt warszawski, aby zajęli się sprawą. W efekcie zorganizowali oni 2 listopada w swojej warszawskiej siedzibie spotkanie. Lorentz tłumaczył na nim, że w mieście znajdują się kolekcje cenne dla całej europejskiej kultury, i prosił, aby pozwolono Polakom zaopiekować się nimi.

Gospodarze byli pod wrażeniem wystąpienia, jego rzeczowości i płynności (sam Lorentz twierdził, że jego niemiecki jest przeciętny), ale grzecznie odmówili, tłumacząc, że z uwagi na warunki wojenne nie mogą nic zrobić. Lorentz sięgnął więc po ostatni argument, czyli wywóz „najcenniejszych zbiorów na teren Polski, a gdyby to było niemożliwe – na teren Niemiec. Zgłosiłem gotowość wykonania tych prac przez polskich pracowników, którzy doskonale znają zbiory swych instytucji”. Fischer i Geibel wyrazili zainteresowanie. Sprawiali wręcz wrażenie, jakby czekali na taką propozycję. Szybko ustalono szczegóły. Typowaniem i pakowaniem zbiorów mieli się zająć Polacy, a po załadunku skrzyń i worków do wagonów towarowych kontrolę nad nimi obejmowałiby Niemcy.

Przed rozpoczęciem pracy trzeba było jeszcze skompletować zespół. Musieli to być ludzie znający najważniejsze zbiory, potrafiący się po nich poruszać, posiadający wiedzę o tym, ile co jest warte. Tymczasem wiele takich osób zginęło, niektórzy, jak Julian Krzyżanowski, byli ranni, a jeszcze inni nie widzieli sensu w oddawaniu Niemcom

polskich skarbów. Resztę trzeba było odnaleźć, specjaliści rozjechali się bowiem w różne strony. Część była daleko od miasta, inni trafili do podwarszawskich miejscowości. W końcu zebrano ekipę, do której dołączyli ludzie bez wiedzy merytorycznej, ale chętni do dźwigania czy zbijania skrzyń. Łącznie kilkaset osób. Przed pierwszym wyjazdem dostali informację, że na całą akcję mają zaledwie dwa tygodnie.

Obłaskawianie zbrodniarzy

Chętni do pracy zbierali się codziennie ok. 7 rano na rynku w Pruszkowie. Stanisław Lorentz rozdawał im przepustki na wjazd do Warszawy. Następnie ciężarówkami jechali do miasta. Jan Zachwatowicz, architekt, wtedy jeszcze doktor, a później autor koncepcji odbudowy Starego Miasta, wspominał, że „cały ruch wjeżdżających i wyjeżdżających wozów ciężarowych i konnych odbywał się wyłącznie ul. Wolską, gdzie w rejonie Cmentarza Wolskiego, w dwóch nie spalonych kamienicach umieścił się Raumungsstab [sztab ewakuacyjny – przyp. autora]. Tu odbywała się kontrola wjeżdżających i wyjeżdżających, przy czym wjeżdżający do Warszawy otrzymywali towarzyszącego żandarma, «Begleitera»”.

Z takim opiekunem grupa jechała na miejsce. W zależności od specjalizacji kierowali się do muzeów albo bibliotek. Niektóre zespoły pracowały na podstawie spisów. Stanisław Herbst z kolei opowiadał, że w BUW-ie selekcję książek przeprowadzano „przede wszystkim bezpośrednio w magazynie przy świeczce, przykapaniej parafiną do tekturowej zastawki, którą przenoszono w miarę posuwania się, podtykając pod książki. Książki zakwalifikowane kładło się w poprzek. Ze wzruszeniem przypominam sobie wątłą postać [prof. Wacława] Borowego w kucym kubraczku i wielkim francuskim berecie, całymi dniami przy świeczce. Książki zakwalifikowane wyciągali z półek «fizyczni», wiązali sznurkiem w paczki, które potem wózkiem zwoziło się na korytarz i łańcuchem, z rąk do rąk, spuszczało się do hallu, gdzie zapakowane w skrzynie, oznakowane i numerowane czekały wraz z listą na transport kolejną”.

Gotowe zestawy przewożono na dworzec, gdzie przekładano je z samochodów do wagonów i wysyłano w różne strony. Polscy kolejarze starali się rejestrować cel każdego transportu. Dzięki temu po wojnie można było rozpocząć starania o odzyskanie przedmiotów. Po skończonym dniu pracy wszyscy wracali do Pruszkowa. Wyjazd z Warszawy musiał nastąpić przed zmierzchem.

Begleiterzy nie mieszało się do pracy. Woleli usiąść w ciepłym kącie i czekać. Polacy umieli to wykorzystywać. Sami wskazywali strażnikom najlepsze miejsca do odpoczynku. Przynosili wódkę i jedzenie i... wyznaczali jedną osobę do zagadywania ich. Dzięki temu mieli możliwość wykonywania nielegalnych poszukiwań. Regularnie dostawali bowiem od właścicieli prywatnych ➤

bowali ratować, co się dało. 26 sierpnia zapisał w dzienniku: „O g. 6 byłem w kościele Dominikanów na Freta. Potem u Sakramentek na N.[owym] M.[ieście]. Freta, Rynek N. Miasta. Zdjęliśmy obraz «Manna na pustyni». Trudności techniczne ze zdjęciem i zwijaniem. Być może, że Matka Przełożona ma rację. Trudno umieścić tak wielkie płótno, nie ma nawet możliwości zabezpieczenia go i zabieg konserwatorski może mu tylko zaszkodzić. Ustawić blejtram pod ścianą, usunąć mniejsze obrazy” (pisownia oryginalna). Miesiąc później ciężko ranny młody historyk sztuki zmarł w szpitalu.

Kilka dni później podpisany został układ o zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie. Regulował on przede wszystkim kwestie związane z dalszym losem powstańców i cywilów. W jednym z punktów pojawił się jednak również zapis informujący, że „umożliwi się ewakuowanie przedmiotów posiadających wartość artystyczną, kulturalną i kościelną. Dowództwo nie-

mieckie dołoży starań, by zabezpieczyć pozostałe w mieście mienie publiczne i prywatne”.

Niemcy nie mieli jednak zamiaru się do tego przywiązywać. Od miesiąca działał w Warszawie SS-Obersturmbannführer Moritz Arnhardt, wysłannik SS-Gruppenführera Hermanna Fegelina, blisko związanego z Hitlerem oraz Heinrichem Himmlerem. Ten zestaw nazwisk pokazywał, że władcy III Rzeszy poważnie podchodzili do sprawy zbiorów zgromadzonych w Warszawie. Arnhardt wraz z grupą przydzielonych mu SS-manów wkraczał do najważniejszych instytucji, jak BUW czy Muzeum Narodowe, i zabierał, co chciał. Nie kierował się przy tym żadnymi opracowaniami. Co więcej, nie wiedział nic o historii sztuki, a jego wiedza ogólnohistoryczna nie była nawet na poziomie szkoły średniej. Jedynym kryterium było to, czy coś mu się podobało.

Jego misja miała jeden pozytywny efekt – wywożąc z Warszawy wybrane przedmioty, uratował je być może przed

kolekcji prosby o zabranie różnych cennych rzeczy. Realizowanie takich zleceń nie było ani łatwe, ani bezpieczne. Każda osoba wychodząca z Warszawy mogła się spodziewać rewizji. Jeśli Niemcy złapali kogoś na wynoszeniu czegokolwiek bez pozwolenia, zabijali go na miejscu. Przy punkcie kontrolnym regularnie leżały ciała. Dodatkowo po Warszawie krążyły patrole, które strzelały bez ostrzeżenia.

Mimo to członkowie „ekip ratunkowych” starali się realizować prosby. Najwięcej udało się zrobić Lorentzowi. Jako kierownik akcji dostał do dyspozycji samochód z szoferem. Jeździł więc po mieście i odwiedzał ocalałe domy w poszukiwaniu cennych druków, obrazów. Te, które miały odpowiednie rozmiary, zabierał do Pruszkowa.

Dbał też o to, żeby Niemcy nie przerwali akcji. Jeździł więc do Geibla, przywożąc mu z zasobów Muzeum Narodowego niemieckie XIX-wieczne obrazy przedstawiające sceny rodzajowe czy też polowania. Wdzięczny Geibel wydłużał termin zakończenia prac. Zaproponował nawet Lorentzowi, że pomoże wywieźć kolumnę Zygmunta III Wazy.

O sadzeniu róż

17 stycznia Niemcy opuścili Warszawę, zostawiając za sobą zgłiszczą. Ołbrzymia ilość zbiorów zgromadzonych w warszawskich muzeach, bibliotekach, archiwach i prywatnych mieszkaniach uległa zagładzie. Szczególnie bolesne były straty poniesione w Bibliotece Ordynacji Krasieńskich przy ul. Okólnik. Korzeniewski opowiadał, że kiedy trafił tam pierwszy raz po powstaniu, był przez moment przekonany, że zbiory ocalały. Te najważniejsze, złożone w piwnicach, wyglądały inaczej niż je zapamiętał z prac prowadzonych kilka tygodni wcześniej. „Bliższe podejście odkrywało sekret tych zmian. Był ohydny. Przy dotknięciu warstwy równo ułożonych egzemplarzy już nawet nie rozpadały się, ale znikały. Zbiory zetlały doszczętnie w ogniu, który musiał je trawić wolno przez wiele dni”.

Kilka miesięcy starań pozwoliło jednak ocalić wiele bezcennych kolekcji. Część z nich wróciła na miejsce. Przetrwowało też archiwum Elizy Orzeszkowej, przeżywając Tadeusza Wiwatowskiego, który zginął w powstaniu. Ratunkiem dla zabytków była już sama obecność Polaków w tych kilku wybranych budynkach. Kiedy zjawiali się podpalacze, przepustki z podpisem Geibla skutecznie ich odstraszały.

Akcja pruszkowska nie przez całe środowisko została uznana za sukces. Ci, którzy w niej uczestniczyli, wierzyli w jej sens, marząc w magazynach i potem, po jej zakończeniu.

Stanisław Lorentz zapamiętał, że ostatnie wojenne Boże Narodzenie upłynęło im na rozmowach o odbudowie Warszawy. Atrakcją spotkania był śpiew „pani Podwińskiej. Jedna z pieśni, szczególnie aktualnych, może dlatego utkwiła mi w pamięci, wzywała, by sadzić róże nawet wtedy, gdy szaleją burze, bo róże sadzić mamy nowemu światu”. Ale ten nowy świat nie mógł obejść się bez wspomnienia starego, zakłętogo w książkach, obrazach oraz rzeźbach. ©

Kultura

Cykle i rytmy dyktatury

Można całą historię PRL-u opowiedzieć przez dzieje przemian ciała kobiety, przemocy wywieranej na tym ciele, a także moralnych i instytucjonalnych roszczeń względem niego

Piotr

Kofta

Kiedy zobaczyłem „Życie codzienne kobiet w PRL” na liście zapowiedzi wydawniczych PIW, przyszło mi do głowy, że to przedsięwzięcie z gatunku niemożliwych do realizacji. Owszem, może od biedy w wielotomowej serii monografii. Ale w ramach jednej książki, liczącej z przypisami 450 stron (co prawda drobnym drukiem)?

Potem jednak pomyślałem, że Błażej Brzostek, historyk o dużej wyobraźni i ciekawym warsztacie, może dać radę. Ostatecznie obcował już z tematyką życia codziennego („Za progiem. Codzienność w przestrzeni publicznej Warszawy lat 1955-1970”, Trio 2007) – a to odrębny podgatunek pisarstwa historycznego. Ma doświadczenie w pracy nad monografią wymagającą szeroko zakrojonej roboty porównawczej na źródłach (znakomite „Paryże innej Europy. Warszawa i Bukareszt, XIX i XX wiek, W.A.B. 2015). Potrafi porządkować fakty i narracje w interesujący formalnie sposób (weźmy „Wstecz. Historia Warszawy do początku”, Muzeum Warszawy 2021 – książkę ułożoną, zgodnie z tytułem, w porządku odwrotnym, od czasów współczesnych do późnego średniowiecza; przy jej lekturze zdejmuje się z miasta, które znamy, kolejne warstwy zdarzeń i kultury materialnej). Brzostek jest przy tym erudyta nieubliżającym chodząc utartymi ścieżkami.

Zwyczajne, przewidywalne, rutynowe

Jak więc wyszło? Wyszło dobrze. Niemniej trzeba, konsumując „Życie codzienne kobiet w PRL”, mieć świadomość rozmaitych założeń Brzostka – i zaakceptować je.

Po pierwsze, autor jest mężczyzną; gdyby wziął się do pisania herstorii, byłaby to zbędna uzurpacja. „Życie codzienne kobiet w PRL” mieści się w szeroko pojętym nurcie feministycznym – jednym z głównych tematów tej książki jest odsłanianie niewidocznych struktur władzy determinowanej przez kulturowy porządek płci – ale nie skupia się na dyskursie emancypacyjnym. Innymi słowy, nie chodzi tu o odkrywanie pionierskich wzorców kobiecego buntu, lecz o coś przeciwnego: opisanie losu kobiet prowadzących życie najzupełniej przeciętne i zazwyczaj traktujących wspomniany kulturowy porządek płci jako zjawisko przynależne do natury rzeczy. Tym ciekawsze wydają się więc przywoływane przez Brzostka przypadki społecznego nieposłuszeństwa – są bowiem aktem przełamania rzeczywistego tabu.

Z tego samego powodu – po drugie – „Życie codzienne kobiet w PRL” nie jest historią elit, stara się bowiem traktować z równą uwagą biografie warszawskiej pisarki, łódzkiej szwaczki i gospodyni domowej ze Stalowej Woli. Brzostek to historyk, ale ma temperament socjologa: gdy wspomina o „życiu codziennym”, traktuje to wyzwanie serio, jako próbę



ujęcia tego, co zwyczajne, przewidywalne, rutynowe. Socjolog, by użyć pewnej metafory, do roboty zakłada okulary, przez które widzi tylko to, co mieści się statystycznie w granicach dwóch odchyśleń standardowych od średniej. Dzięki temu – przy rozkładzie normalnym próby – dostrzega 95 proc. rzeczywistości. Oczywiście, w pozostałych pięciu procentach wiele się dzieje, ale o nich pisze już ktoś inny.

Zanurzenie w chłodnej materii „życiowego”, „typowego” życia przychodzi mi na myśl „Lata” francuskiej prozaiczki Annie Ernaux (przeł. Magdalena Budzińska, Krzysztof Jarosz, Czarne 2022), autobiograficzną próbę opowiedzenia „o istnieniu poszczególnym, lecz jednocześnie wtopionym w historię pokolenia”. Język francuski dysponuje wspaniałym zaimkiem „on” (jak w zwrotach „On y va?” – „Idziemy?” albo: „On fait des courses pour le dîner” – „Robimy zakupy na kolację”), który umożliwia mówienie o „nas” bez użycia słowa „my”, wytwarzając przy okazji szczególne poczucie bezosobowej wspólnoty. Ernaux, która w „Latach” wyciska z tego zaimka siódme poty, dostała, zresztą słusznie, literackiego Nobla za swoje pisarstwo, a „Życie codzienne kobiet w PRL” to po prostu rzeczowa praca popularnonaukowa. Zdaję sobie sprawę z ryzykownego porównania. Chcę tylko podkreślić ten szczególny, pozornie nieczuły rodzaj spojrzenia.

Codziennosc, a może kierat

Warto tu zresztą przywołać kolejnego Francuza, socjologa Pierre’a Bourdieu, i jego koncepcję habitusu. Habitus nie jest ustalonym zbiorem praw i norm, lecz układem sposobów postrzegania świata, reguł myślenia i wzorców postępowania – takich jednak, które często pozostają nie w pełni wyartykułowane i nazwane. Habitus zmienia się w czasie, również niespostrzeżenie, dotyczy bowiem tego, co rutynowe, przynależne do stałego programu. Jednostka ma w gruncie rzeczy nieograniczone możliwości działania, o wielu z nich nie będzie jednak umiała nawet pomyśleć, właśnie z uwagi na ograniczenia habitusu.

Błażej Brzostek

„Życie codzienne kobiet w PRL”, PIW, Warszawa 2025





FOT. KAROL SZCZECIŃSKI/EAST NEWS

Socjologia Bourdieu – także jego idee reprodukcji społecznej – stała mi przed oczami, jak tylko zorientowałem się w specyficznej konstrukcji książki Brzostka. Autor, świadom, że stara się ogarnąć naraz wiele mocno różniących się środowisk i okresów historycznych – PRL nie był przecież jednolity, miał swoją stratyfikację i dynamikę – próbuje wyodrębnić to, co w kobiecych losach powtarzalne, i oddzielić od tego, co naracyjne. Dostajemy więc, ujęte w formie krótkich esejów, „Cykle” i „Pory”, przedzielone „Liniami”.

W „Cyklach” i „Porach” Brzostek stara się pokazać mechanikę (a może kierat) codziennego życia w autorytarnym państwie z reformatorskimi ambicjami tworzenia nowej, racjonalnej rzeczywistości: w PRL-u nawet książka kucharska, jedna z ulubionych lektur mojego dzieciństwa, miała 200 stron wstępu teoretycznego na temat ergonomii przestrzeni kuchennej i technologii przyrządzania posiłków. To jest rzecz bardzo à la Bourdieu, co przecież nie odbiera jej oryginalności i przenikliwości.

W „Liniach” natomiast autor opowiada, zgodnie ze strzałką czasu, o metamorfozach owego życia, kolejnych przypływach (i odpływach) nowoczesności, które najpierw dawały PRL-owi legitymizację, potem zaczęły go niszczyć od wewnątrz, o niespodziewanych skutkach ubocznych wymuszanych odgórnie zmian, wreszcie: o dosłownym i metaforycznym bankructwie całego projektu.

Zagadnienia biopolityki

Gdy się już obłaskawi tę osobliwą formę, „Życie codzienne kobiet w PRL” zaczyna odkrywać przed nami rozmaite fascynujące prawdy. PRL był przestrzenią autentycznej modernizacji, zarówno tej planowo-technokratycznej, jak i tej spontanicznej, nieprzewidywanej przez towarzyszy z KC. Ten pierwszy wymiar był jednak niemal całkowicie zdominowany przez mężczyzn: PRL był ludową republiką facetów, zamieszkiwaną również przez kobiety. Ale to mężczyźni rządili, stanowili prawo, byli dyrektorami i inżynierami; zajmowali się również wymyślaniem i wdrażaniem przyszłości. Gdy zaś kobiety pragnęły

odwołać się do jakichś alternatywnych autorytetów, także trafiały na mężczyzn, tyle że w sutannach.

Brzostek pokazuje, że owa modernizacja, także odnośnie do ról płciowych, odbywała się skokami – czasami w tempie, który przerażał samych projektantów i wywoływał moralną panikę (migracje wyrwywających się spod męskiej kurateli młodych kobiet nie są wyłączną specyfiką naszych czasów), czasami pod prąd (jak w latach 70. i 80., po katastrofie gierkowskiego sockonsumpcjonizmu, gdy następował w gruncie rzeczy zwrócenie do tradycjonalizmu i religijności), zwykle jednak w ramach reguł gry wyznaczanych przez mężczyzn.

Dzięki przyglądaniu się z bliska materii życia (pozostając pod wrażeniem pracy archiwalnej) autor wnika głęboko w zagadnienia biopolityki: można całą historię PRL-u opowiedzieć przez dzieje przemian ciała kobiety, przemocy wywieranej na tym ciele, a także moralnych i instytucjonalnych roszczeń względem niego. Dyktatura w PRL-u nie polegała tylko na tym, że państwo na różne sposoby terrorizowało obywateli – jeśli się zjeździe na niższe poziomy obserwacji, można opisać dyskretnie metody funkcjonowania dyktatury mężczyzn w obrębie zakładu pracy, uczelni, szpitala położniczego, rodziny, wreszcie: łóżka, na którym uprawia się seks (Brzostek z uwagą bada kwestię antykoncepcji i aborcji w Polsce Ludowej).

Na koniec wspomnę o tym, że „Życie codzienne kobiet w PRL” rozprawia się z kobietami na traktorach – jednym z najsukuteczniejszych propagandowych (oczywiście męskich) oszustw stalinizmu. „Mitem traktorzystki byłoby (...) sprzężenie pojęcia nowoczesności i postaci kobiety, jej sprawczej roli przy kierownicy i zastanej wyobraźni wiążącej kobietę z pracami służebnymi, ukazanie aktywnej roli traktorzystki w zmianie rzeczywistości” – pisze autor. „Na początku lat pięćdziesiątych w polskim rolnictwie pracowało ok. 7 mln ludzi, a siłę pociągową stanowiło 2,7 mln koni. Traktorów w 1952 r. było ok. 37 tys. Innymi słowy, można było w tym czasie przez cały dzień przemierzać wsie polskie, oglądając rzesze ich mieszkańców i niezliczone konie na szosach i w polu, i nie ujrzeć ani jednego traktora”. ©©

KOMUNIKATY

Warszawa, dnia 23.01.2026 r.

KOMUNIKAT

w sprawie cofnięcia Polski Gaz Towarzystwu Ubezpieczeń Wzajemnych na Życie w likwidacji z siedzibą w Warszawie zezwolenia na wykonywanie działalności ubezpieczeniowej w zakresie całej działalności

Na podstawie art. 172 ust. 13 ustawy z dnia 11 września 2015 r. o działalności ubezpieczeniowej i reasekuracyjnej (Dz. U. z 2025 r., poz. 1526) Komisja Nadzoru Finansowego **po raz pierwszy** ogłasza o cofnięciu w dniu 16 stycznia 2026 r. Polski Gaz Towarzystwu Ubezpieczeń Wzajemnych na Życie w likwidacji z siedzibą w Warszawie (Polski Gaz TUWnŻ) zezwolenia na wykonywanie działalności ubezpieczeniowej w zakresie ubezpieczeń, o których mowa w Dziale I – ubezpieczenia na życie załącznika do ustawy o działalności ubezpieczeniowej i reasekuracyjnej – Podział Ryzyka według Działów, Grup i Rodzajów Ubezpieczeń w grupach 1, 3, 5.

Zgodnie z dyspozycją art. 172 ust. 12 ustawy o działalności ubezpieczeniowej i reasekuracyjnej decyzja Komisji Nadzoru Finansowego o cofnięciu Polski Gaz TUWnŻ zezwolenia na wykonywanie działalności ubezpieczeniowej jest natychmiast wykonalna.

W konsekwencji, zgodnie z brzmieniem art. 173 ustawy o działalności ubezpieczeniowej i reasekuracyjnej Polski Gaz TUWnŻ nie może:

1. zawierać umów ubezpieczenia,
2. przedłużać zawartych umów ubezpieczenia,
3. obejmować ochroną ubezpieczeniową nowych ryzyk na podstawie zawartych umów ubezpieczenia,
4. podwyższać sum ubezpieczenia w zawartych umowach ubezpieczenia,
5. dokonywać zmian umów ubezpieczenia zwiększających odpowiedzialność zakładu ubezpieczeń, innych niż podwyższanie sum ubezpieczenia.



WYCIĄG Z OGŁOSZENIA O PRZETARGU

PREZYDENT MIASTA BYDGOSZCZY

informuje o ogłoszeniu i przetargu ustnego nieograniczonego na sprzedaż nieruchomości gruntowych niezabudowanych, stanowiących własność Miasta Bydgoszczy

1. Oznaczenie nieruchomości:

Położenie, obręb	Nr działki	Obręb	Pow. [ha]	Księga wieczysta	Cena wywoławcza netto	Wadium
ul. Kobaltowa/ ul. Ołowiana	1/4	328	0,0389	BY1B/00071332/1	3.300.000,-*	410.000,-
	3/9	328	0,5132	BY1B/00082811/3		
	5/6	328	0,2417	BY1B/00082811/3		
	1/6	329	0,0288	BY1B/00071332/1		
	31	329	0,3619	BY1B/00082811/3		
	8/7	329	0,2721	BY1B/00082811/3		
	6/21	322	0,4077	BY1B/00082811/3		
			1,8643			

- * Uwaga: cena wywoławcza nieruchomości nie obejmuje należności podatkowych, które wprowadziła z dniem 1 maja 2004 r. ustawa z dnia 11 marca 2004 r. o podatku od towarów i usług (Dz. U. z 2025 r. poz. 775 ze zm.). Nabywca zobowiązany jest do zapłaty wycycytowanej ceny sprzedaży oraz obowiązującego w dniu sprzedaży podatku VAT.
2. Termin i miejsce przetargu: **31.03.2026 r. o godz. 12.00 w Ratuszu przy ul. Jezuickiej 2 w Sali Łochowskiego.**
3. Termin wpłaty wadium **24.03.2026 r.** przelewem na konto Urzędu Miasta Bydgoszczy w Banku Pekao SA Nr 27 1240 6452 1111 0010 4788 2066, przy czym za datę wniesienia wadium przyjmuje się datę uznania środków pieniężnych na wskazany w ogłoszeniu rachunek Urzędu Miasta Bydgoszczy.
4. Miejsce wywieszenia i publikacji pełnego ogłoszenia o przetargu:
- na tablicy ogłoszeń w Wydziale Mienia i Geodezji Urzędu Miasta Bydgoszczy przy ul. Grudziądzkiej 9-15 w budynku A,
 - na stronie internetowej: <http://bip.um.bydgoszcz.pl>.
5. Szczegółowych informacji o sprzedawanej nieruchomości i warunkach przetargu można uzyskać w Wydziale Mienia i Geodezji Urzędu Miasta, przy ul. Grudziądzkiej 9-15, w budynku A, pokój nr 122, tel.: 052/ 58 56 412, w godzinach 8.00 – 16.00 (pon., śr., czw.); 8.00 – 18.00 (wt.); 8.00 – 14.00 (pt.).

AUTOPROMOCJA

WWW.IKOMUNIKATY.PL

Ogłoszenia w Dzienniku Gazecie Prawnej

gazeta + internet

Ewa Gromek-Tyburska, ewa.gromek@infor.pl, tel. kom. 510 024 764
Sylwia Nowakowska, sylwia.nowakowska@infor.pl, tel. kom. 510 024 732
Kinga Kucharska, kinga.kucharska@infor.pl, tel. kom. 668 450 116



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Dlaczego Europa jest tak podatna na szantaż

Rafał Woś

Ostatnie lata przypomniały wszystkim dość boleśnie, że strategiczne surowce mogą się stać bronią. Dzieje się tak w sytuacji, w której dominujący dostawca zachowuje się jak cwany dealer i powiada, że albo będzie tak, jak chce, albo koniec z dostawami upragnionego towaru dla zdesperowanego klienta. W latach 2021–2022 tak robił Władimir Putin z gazem i ropą. A konsekwencje tamtego posunięcia czujemy do dziś w cenach energii oraz generalnym poczuciu geopolitycznego rozedrgania.

Nie trzeba być wytrawnym obserwatorem sceny międzynarodowej, by zdawać sobie sprawę, że rosyjski szantaż wobec Europy był przygrywką. A prawdziwe wyzwanie nadejdzie ze strony Chin. Bo nawet jeśli uzależnienie krajów UE od rosyjskiego gazu było duże, to i tak jest ono niczym w porównaniu z zależnością wobec dostaw metali ziem rzadkich (REE), wydobywanych i rafinowanych przez Państwo Środka w stopniu niemal monopolistycznym.

W nowym tekście niezły niemiecki ekonomista Ralph Wrobel wyjaśnia, dlaczego ta sytuacja jest szczególnie groźna dla Europy. I dlaczego to my najgłębiej siedzimy w czeluściach geopolitycznej pułapki uzależnienia od Chin. Dla precyzji dodam, że tu chodzi o REE w najwęższym tego terminu znaczeniu – o grupę 17 metali, z których większość to lantanowce ukrywające się pod nazwami, których zwykły człowiek nie słyszy codziennie: lantan, cer,

neodym, prazeodym. Sęk w tym, że zwykły człowiek korzysta na co dzień z ich dobrodziejstw, używając współczesnej elektroniki. To o tych pierwiastkach przywódca Deng Xiaoping miał już w latach 80. powiedzieć: „Arabowie mają ropę, a my mamy to”. Jego następcy słowa dotrzymali – i dziś Chiny w produkcji i przetwarzaniu metali ziem rzadkich dominują.

Dlaczego jednak zależność owa jest tak dotkliwa akurat dla Europy? Po pierwsze, brakuje (w zasadzie poza Grenlandią) oczywistych złóż tych pierwiastków, gdzie miałyby ekonomiczny sens ich wydobywanie. A po drugie, pisze Wrobel, UE sama to uzależnienie od metali ziem rzadkich spotęgowała, prowadząc od dekady swoistą politykę klimatyczną polegającą na promowaniu odnawialnych źródeł energii. Rugowanie z energetycznego miks paliw kopalnych (którymi Europa przecież dysponuje) na rzecz OZE czyniło ją coraz bardziej zależną od technologii pozyskiwania, magazynowania i przesyłania energii, w których fundamentalne znaczenie odgrywają metale ziem rzadkich. I stąd kłops, który mamy dziś.

A teraz, powiada Wrobel, wyobraźmy sobie sytuację, w której dochodzi do eskalacji chińsko-amerykańskiego sporu o Tajwan. I Europa musi wybierać między Waszyngtonem a Pekinem, który powiada, że... może być miło, a może być też bardzo niemiło. Bo metale ziem rzadkich mogą sobie dalej płynąć do łaknących ich europejskich producentów, jak dotąd – to znaczy po akceptowalnej cenie. A mogą też podrożeć. Albo w skrajnym przypadku ich dostawy zostać wstrzymane całkowicie. Co wtedy?

W jakimś sensie miniony rok uświadomił nam wszystkim realność tego scenariusza. Spora w tym zasługa Donalda Trumpa, który postanowił przebudzić wszystkich z drzemki, zmuszając Chiny (w trakcie trwającej od kwietnia na całego wojny celnej) do czasowej reglamentacji eksportu rzeczonych pierwiastków. Głupcy go za to winią, nazywając burzycielem światowego ładu. Mądry powinien pójść po rozum do głowy i przygotować się, póki czas.

© P

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność” oraz publicystą wydawanego przez NBP „Obserwatora Finansowego”

Pomoc rzeczowa czy gotówka?

Filip

Tokarski

Autor jest ekonomistą GRAPE

Rządowa pomoc dla potrzebujących rodzin często polega na przekazywaniu bądź dofinansowywaniu produktów, dóbr i usług. Przykładowo wiele państw utrzymuje darmową podstawową opiekę medyczną. Często dofinansowywane są również dobra codziennego użytku: w Indiach rząd prowadzi specjalne sklepy sprzedające ryż, mąkę i inne podstawowe produkty po cenach poniżej rynkowych. Rząd Polski od lat prowadzi też program dofinansowywania skromnych i niedrogich posiłków w barach mlecznych.

Potrzeby ubogich są różne: być może niektórzy nie mają kłopotu z mieszkaniem, za to brakuje im pieniędzy na podręczniki szkolne. Gdyby zamiast świadczeń rzeczowych – darmowych bądź dofinansowanych produktów – dawać im równowartość w gotówce, byłoby w stanie wydać te pieniądze na to, czego potrzebują najbardziej. Przekazywanie rzeczy ogranicza ich możliwości i przez to czyni pomoc mniej skuteczną.

Powodów, dla których stosujemy świadczenia rzeczowe, jest wiele. Niektóre partie przekonują np., że biedne rodziny wydałyby świadczenia pieniężne nieroz-

sądnie, a więc ograniczenie ich wyborów jest zaletą. Mimo to świadczenia rzeczowe mogą mieć ekonomiczny sens nawet wtedy, jeśli nie wątpimy w roztropność niezamożnych rodzin. Zauważają to ekonomiści Charles Blackorby (Uniwersytet Warwick), David Donaldson (Uniwersytet Kolumbii Brytyjskiej), Tim Besley (LSE) oraz Stephen Coate (NBER). Skupiają się oni na przypadku, w którym rząd nie jest w stanie określić, kto jest najbardziej potrzebujący. Takie założenie jest rozsądne; np. porównajmy sytuację dwóch osób – obie skończyły studia i pracują za niewielką pensję w Warszawie. Pierwsza z nich pochodzi z tego miasta i otrzymuje pomoc finansową od rodziców. Druga dopiero przeniosła się do stolicy i pochodzi z rodziny, której nie stać na wysyłanie regularnej pomocy. Mimo że te osoby zarabiają podobnie, ich sytuacje życiowe znacznie się różnią. Co więcej, są to różnice, które nie pojawiają się w danych rządowych i na których nie można opierać warunkowania programów pomocy.

Jak w takich przypadkach mogą pomóc świadczenia rzeczowe? Rozważmy

sytuację, w której rząd dofinansowuje niskiej jakości produkty spożywcze, jak ma to miejsce w Indiach. Osoby, które bardzo potrzebują pomocy, chętnie skorzystają z takiej opcji. Natomiast ci, których sytuacja materialna jest lepsza, mogą sobie pozwolić na kupno lepszej jakości jedzenia i nie będą chcieli ograniczać się do gorszych produktów, nawet jeśli są one tańsze dzięki państwowym dofinansowaniom. Zauważmy, że w takiej sytuacji pomoc rządowa idzie jedynie do bardziej potrzebujących, mimo że w programie pomocowym może uczestniczyć każdy. Jest to zatem sposób kierowania pomocy do mniej zamożnych, który nie wymaga znajomości ich faktycznego poziomu potrzeb.

Podobne argumenty dotyczą np. służby zdrowia: państwowa opieka zdrowotna wiąże się z kolejkami i jest zaopatrzona gorzej niż lekarze prywatni. Zamożni ludzie zatem często decydują się na płatne wizyty poza NFZ. Dlatego też dostępna dla wszystkich podstawowa służba zdrowia w praktyce skutecznie kieruje pomoc do osób mniej zamożnych.

© P

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny:
Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkiewicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn: Anna Masłoń
(kierownik), Piotr Czarnowski,
Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie:
Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK), Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja
oraz Kadry i Płace:
Urszula Mirowska-Łoskot,
Joanna Pieńczykowska-
-Rybaczky (tygodnik SiA),
Leszek Jaworski
(tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo
oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz,
Izabela Rakowska-Boroń
(tygodnik FiP)

projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum
Reklamy:
Michał Krukowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Członek Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie
biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 22 530 42 06

Druk:
Seregni Printing
Group S.A.



Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich;
® – znak odpłatności;
©® – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych



Zamówienia
na prenumeratę
przyjmują:
Kolporter:
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje
o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwa wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.